

Powieść

Plac Senińskiego

DANIEL WYSZOGRODZKI



MARGINESY

*Boy, you gotta carry that weight
Carry that weight a long time
The Beatles, Abbey Road*

Prolog

Wszystko zaczęło się od tego, że upadłem na głowę.

Miałem dwa lata, może trzy. Siedziałem na parapecie i oglądałem olbrzymi plac, który leżał kilka pięter niżej i był dla mnie całym światem. Plac nazywał się Leńskiego, a wszystko poza nim nazywano Warszawą. Po drugiej stronie placu, zasłaniając nieznany horyzont, rozciągał się dom taki sam jak ten, z którego wyglądałem. Dom w lustrze. Balansowałem na szerokim parapecie pod czujnym okiem Ba, a widok za oknem zaprzętał mnie bez reszty. Po placu chodzili ludzie, z wysoka wydawali mi się bardzo mali. Od czasu do czasu plac ożywał. Działo się to za sprawą długiego czerwonego autobusu, który przejeżdżał pod samym oknem, od lewej strony ku prawej, wydając z siebie fantastyczne dźwięki – sapanie, turkotanie, furkanie. Miał własny język, a ja starałem się go zrozumieć. Dokładnie w momencie, kiedy rozgadany czerwony smok miał się wyłonić, Ba pobiegła na chwilę do kuchni, by coś tam przykręcić, zgasić, a może tylko zdjąć przykrywkę. Mój autobus, prychając, wjechał prosto pod okno, a ja podskoczyłem ze szczęścia, wezbrała we mnie radość, przy której parapet, mimo całej swojej szerokości, nie miał szans. Spadłem na łeb – dziecięcy twardy łeb, który ochrania kaskiem czaszki niezapisaną mózgownicę. Po drodze zahaczyłem o kaloryfer. Poląła się krew.

Ba wróciła do pokoju właśnie w tym momencie, a sekunda poprzedzająca atak histerii wystarczyła jej na odtworzenie zdarzenia od końca: krew, kaloryfer, parapet, okno, ja. Zapewne pominęła udział autobusu. Rzuciła się na mnie, krzycząc jak opętana, ja nie byłem gorszy, w końcu dzieciak, który właśnie rozwalil sobie głowę,

ma pełne prawo do wrzasku. Nie wiem, jak szybko ochłonęła, ale kiedy przekonała się, że żyje, i owinęła mi głowę pierwszą pochwyconą szmatą, przypomniała sobie, że mamy telefon, co było rzadkością. Telefon zawdzięczaliśmy zawodowi ojca i chorobie mamy. Ojciec był lekarzem, a mama architektem, ale przede wszystkim umierała na płuca. Teraz to jednak ze mnie wystrzeliła czerwona fontanna.

Ba wykręciła numer do Szpitala Praskiego, gdzie pracował mój ojciec. W sumie niedaleko, po drugiej stronie parku Praskiego, dokąd wożono mnie w wózku („dziecko potrzebuje powietrza”). Ale Ba była w szoku, więc wykrzykiwała tylko jedno zdanie:

– Syn doktora Wyszogrodzkiego miał wypadek! Syn doktora Wyszogrodzkiego miał wypadek!

A tam oddana ekipa pracowników służby zdrowia wskoczyła do karetki pogotowia i na sygnale popruła na ulicę Zwycięzców na Saskiej Kępie, gdzie mieszkali moi rodzice. Ja tymczasem wykrwawiałem się na Pradze-Północ. No i z głowy.

I. Okno

Dzieciństwo

Plac: start!

Nie pamiętam wcześniejszych wydarzeń, moje życie zaczęło się od placu. Panował na nim bałagan, który odbierałem jako porządek. To był jedyny znany mi świat, choć przeczuwałem, że jest coś dalej, coś więcej. Obserwowałem figurki ludzi przechadzających się za oknem – odróżniałem kobiety i mężczyzn, lubiłem przyglądać się dzieciom. Kobiety nosiły siatki, mężczyźni teczki, a dzieci worki z kapturami, którymi okładały się po głowach. Te dzieci szły do szkoły. Ba mówiła, że ja też będę uczniem.

Przez plac przebiegały wydeptane ścieżki i to po nich chodzili ludzie. Zwykle przecinali szerokość placu albo poruszali się w poprzek – pojawiali się z mojej prawej i zmierzali w stronę ruin, jakie wyrastały po przeciwnej stronie, z mojej lewej. Były to ruiny budynku, który tam stał przed wojną, na długo zanim powstały okoliczne domy. Za ruinami skrywał się przystanek autobusowy, na który kierowali się piesi. Obserwowałem nadjeżdżające autobusy i przechodniów, którzy zaczynali biec na ich widok. Autobusy po drugiej stronie placu były małe jak zabawki. Nie to co czerwone smoki przejeżdżające tuż pod moim oknem, prychające i parskające. Te były olbrzymie i zazdrościłem ludziom, którzy się w nich gnetli, widziałem ich twarze w oknach. Wydawali się znacznie więksi od ludzi podróżujących po przeciwnej stronie. Byli prawdziwi, a co do tamtych nie miałem pewności – mali jak moi żołnierze, przypominali zabawki.

Wyobrażałem sobie, że w oknie naprzeciwko siedzi na parapecie taki sam chłopiec jak ja, a może nawet to jestem ja. Przyglądaliśmy się sobie. Machałem do niego.

Rurka z tlenem

Nie miałem wielu zabawek, ale miałem swój pokój. Znajdował się po drugiej stronie budynku, tak jak i kuchnia, a okna obu tych pomieszczeń wychodziły na podwórko, na którym rosły drzewa. Od podwórka było widać inne domy – miały różowy kolor, co chyba mi się podobało. Stały blisko i nie były duże, wszystkie okoliczne domy wydawały się małe w porównaniu z naszym. Zabawki nie zajmowały w moim pokoju wiele miejsca, największa była szafa z lustrem wypełniająca całą wnękę. Nie lubiłem szafy i trochę się jej bałem, bo nie było tam moich rzeczy i nie wolno mi było jej otwierać. Zabawki trzymałem w pudełkach – żołnierzy, drewniane klocki, samochody. Miałem jeszcze żółtego słonika, który był moim najlepszym kolegą. Nazywał się Pimpek.

Niezbyt chętnie bawiłem się żołnierzami, ale to właśnie żołnierzy dostawałem najwięcej. Ustawiałem dwa oddziały naprzeciwko siebie, wydawałem przerażające odgłosy bitewne i przewracałem figurki. Wydawało mi się, że o to chodzi. Przynajmniej bawiłem się w wojnę, a o wojnie mówiło się w domu codziennie i za taką zabawę bywałem chwalony. Strasznie chciałem być chwalony, lubiłem pochwały dorosłych i starałem się na nie zasłużyć. Dziadek pokazywał mi, jak strzelać, a Ba opowiadała o wojnie okropne rzeczy. Wiedziałem, że wojna jest straszna i że za chwilę może wybuchnąć nowa. Nie byłem tylko pewien, czy muszę się jej bać, mając żołnierzy, Dziadka i Ba.

Mamy właściwie nie pamiętałem. Nie widywałem jej często, bo była chora. O niej także dziadkowie rozmawiali codziennie, aż prawdziwa mama wymieszała mi się w głowie z ich opowieściami, chociaż jeden obraz był na pewno mój własny. Jeden jedyny. Mama leżała na zielonym tapczanie w mieszkaniu rodziców. Lubiałem tamto mieszkanie, bo było inne od tego, w którym przebywałem z dziadkami – jaśniejsze, weselsze. A mama leżała tam pod oknem i oddychała tlenem z butli. Wielkie butle stały przy jej tapczanie, a ona pociągała tlen przez czerwoną gumową rurkę i mnie też pozwalała z niej pociągnąć. Uśmiechała się do mnie i podawała mi rurkę, cieszyłem się z każdego oddechu. Tlen jest darem życia – słyszałem. Nad zielonym tapczaniem było okno i świeciło wtedy słońce. To wszystko, co zapamiętałem.

Niewiele, ale to moje własne wspomnienie, byłem tego pewien. I tylko nie pamiętałem twarzy mamy, wtedy, w tamtym pokoju. Dla mnie miała zawsze twarz ze zdjęcia, na którym – śliczna, smutna, zamysłona – jest studentką architektury. Ba powtarzała, że mamę re-re... re-le-go-wali z uczelni za pochodzenie, ale wróciła po roku, bo umarł Stalin. Chyba dobrze, że on umarł, szkoda tylko, że ona też. To zdjęcie stało w mieszkaniu dziadków oprawione w ramkę, ustawione na pianinie. Nasz ołtarzyk. Dziadkowie ciągle się w nie wpatrywali.

Mama nie umarła w tamtym mieszkaniu na Saskiej Kępie, gdzie omyłkowo wysłano ambulans po moją rozciętą i krwawiącą głowę. Umarła w szpitalu, nie pamiętałem kiedy. Pamiętałem co nieco z pogrzebu i z mieszkania rodziców, gdy po pogrzebie zeszli się tam rodzina i znajomi. W kościele Ba robiła straszne rzeczy. Krzyczała i rzucała się na trumnę, w której leżała mama – byłem za mały, żeby zajrzeć do środka. „Nie! Nie! Nie!” – krzyczała. Na pogrzebie było zimno i tego dnia padał śnieg, a może wcale nie padał, ale zimno było na pewno. W domu ludzie poklepywali mnie po ramieniu i mówili: „Biedny chłopak”. A jedna ciotka podeszła do mnie i powiedziała: „Mamusia wyjechała do Ameryki”.

Wiedziałem, że kłamie, że mama umarła i już nigdy jej nie zobaczę. Kiedy zostałem na chwilę sam, wziąłem czarną pastę do butów i zacząłem zamalowywać białą ścianę w przedpokoju. Gdy na mnie nakrzyczeli, powiedziałem, że przecież jest żałoba, chciałem dobrze. Plama została, a ja i tak nic nie czułem.

Szafa bez tajemnic

Mieszkanie dziadków miało swoje tajemnice, takie jak winda, która przejeżdżała przez nie ze stukotem – drżały wtedy ściany i podłoga. Wyczuwałem, kiedy się zbliża i czy jedzie z dołu do góry czy przeciwnie. Gdy zjeżdżała na dół, zwłaszcza z wysoka (dom miał sześć pięter, jeśli już ktoś umiał liczyć do sześciu), jej nadejście poprzedzały odgłosy kabli szorujących po ścianach szybu. Winda przejeżdżała przez mieszkanie, co nie znaczy, że było ją widać. Miała wymurowany tunel i tylko na klatce schodowej można było do niej wejść lub z niej wyjść. Lubilem jechać windą, kiedy zaczynała się wspinać i pokonywała długi na dwa piętra ciemny tunel. W jej drewnianych drzwiach znajdowały się okienka i oglądałem przez nie przelatujące

na ścianach szybu napisy i rysunki. Nie umiałem sobie wyobrazić, jak je wykonano, ponieważ winda nie zatrzymywała się ani na chwilę, a drzwi musiały być przez cały czas zamknięte.

Co noc spałem w ponurym cieniu szafy i z czasem przestałem się jej bać, oswoiłem się z nią. Zawsze była zamknięta i nie potrafiłem otworzyć żadnej z jej trzech szuflad ani trojga drzwi. W środkowych drzwiach, najszerszych, było lustro o kształcie płaskiego jaja. Odbijał się w nim cały pokój, co sprawiało, że wydawał się dwa razy większy, niż był w rzeczywistości. Odbijało się też okno. Do szafy dobrałem się w końcu, podglądając Ba, kiedy ją otwierała, co zdarzało się rzadko i nigdy w mojej obecności. Podejrzałem ją przez szparę w drzwiach i zobaczyłem dwie rzeczy. Całą szafę wypełniały ubrania, a pęk kluczy Ba chowała do szuflady po lewej stronie. W końcu, kładąc się na plecach, wsunąłem rękę pod szufladę i przyciągałem ją do siebie, napierając od spodu. Była ciężka, ale powoli ustępowała, zrobiła się niewielka szparka i wtedy można było pociągnąć ją od góry. Pośród kłębowiska tkanin o nieznanym mi przeznaczeniu leżał duży, ciężki, dzwoniący ponuro pęk kluczy.

Dziadek przesiadywał w kuchni, gdzie czytał, pił herbatę i palił papierosa za papierosem, używając do tego szklanych fitek, które stopniowo brązowiały. Zapach dymu papierosowego był dla mnie zapachem Dziadka, kojarzyła mi się z nim także piosenka o tajemniczych słowach, którą sobie czasami podśpiewywał: „Itsalongłej tatiperari”. Podobała mi się i z przyjemnością mu towarzyszyłem: „Itsalongłej tatiperari, itsalongłej tu go!” Lubilem piosenki, ale nie miałem ich gdzie słuchać. Podłoga w kuchni była wyłożona zielonym linoleum, grubym i gładkim, przyjemnym w dotyku. To właśnie tam, pod oknem Dziadka, najczęściej rozstawiałem swoje małe wojsko.

Ba zajmowała duży pokój, ten od strony wielkiego placu. Siadywała tam przy stole i stawiała pasjansy. Często mówiła przy tym do siebie, to znaczy do mamy, chociaż jej tam nie było. W kącie pokoju pod oknem stało pianino, a na nim to piękne zdjęcie mamy, na którym jest taka zapatrzona i zamyślona. Pianino było zawsze zamknięte na klucz, czego okropnie żałowałem, bo mogło się stać moją najfajniejszą zabawką. A na pewno największą. Służyło jednak tylko do tego, żeby stało na nim zdjęcie mamy.

Otwarcie szafy przyniosło rozczarowanie. Kiedy czasami zosta-

na koniec odsłonić tajemnicę. Kluczy w pęku było znacznie więcej niż zamków i nietrudno było wyobrazić sobie inne zamki, które można było nimi otworzyć, inne meble – chyba że już nie istniały. Ba codziennie wspominała rzeczy, które już nie istniały. Prawie wszystkie z nich istniały przed wojną. Szafę szczelnie wypełniały ubrania po mamie i nic więcej. Dowody jej istnienia.

Dziadek chodził do pracy w ministerstwie. Kiedy budziłem się rano, najczęściej już go nie było. Jeździł autobusem, co strasznie mi się podobało. Wracał po południu i przynosił gazetę. Z czasem zacząłem się interesować gazetami, były w nich zabawne rysunki i niewyraźne zdjęcia. Po obiedzie, który zjadał sam w kuchni, Dziadek zapalał papierosa i czytał „prasę codzienną”.

Ja i Ba spędzaliśmy całe dnie w domu. Czasami zabierała mnie ze sobą na zakupy, ale sklepy ją denerwowały. „Do czego to podobne? – powtarzała. – Co oni nam zrobili!” Nie wiedziałem, kogo właściwie miała na myśli. Kim byli tajemniczy „oni”? Powracały dwa słowa: Niemcy i komuniści.

Boski wiatr

Coraz częściej ogarniało mnie dziwne uczucie, którego wcześniej nie znałem. Czas zwalniał, a nawet przestawał płynąć, a ja nie wiedziałem, co mam ze sobą zrobić. Ba powiedziała, że to nuda. Oglądanie świata przez okno, żołnierzyki, którymi w zasadzie przestałem się bawić, układanie klocków, z których nie mogłem ułożyć nic ciekawego, bo miałem ich za mało. Nieustające narzekania Ba i nieobecność Dziadka, który po powrocie z pracy lubił mieć spokój i nie miał ochoty ze mną rozmawiać. Rzadkie wyjścia po zakupy, w czasie których Ba wymieniała pojedyncze „dzień dobry pani” z paniami w jej wieku. Nie lubiła z nikim rozmawiać. Nie miała przyjaciółek i nie chciała poznać sąsiadów. Przez okno widywałem dzieci wracające ze szkoły, nie znałem ich, zresztą co to za zabawa – tak się przyglądać dzień za dniem. Nie miałem koleżanek ani kolegów, a ze słońcem Pimpkiem rozmawiałem sobie w głowie, bo przecież nie naprawdę. Byłem sam i ogarniała mnie nuda. Postanowiłem to zmienić, więc nauczyłem się czytać.

To nie było trudne. Część drewnianych klocków, z których układałem swoje skromne konstrukcje, miała wymalowane litery.

Różnobarwne. Podchodziłem do Dziadka albo do Ba, kto był bliżej, i pytałem, jaka to litera. Następnie układałem z nich napisy: MAMA, TATA, BA. Od czegoś trzeba było zacząć. Aż nagle zorientowałem się, że potrafię przeczytać tytuły gazet przynoszonych do domu przez dziadka: ŻYCIE WARSZAWY albo EXPRESS WIECZORNY (choć była tu literka, której nie znalazłem na klockach). Ba najczęściej czytała PRZEKRÓJ, ale to nie była gazeta, tylko „pismo”. Nie przyznałem się dziadkom do nowej umiejętności, szykowałem dla nich niespodziankę i ćwiczyłem odczytywanie wszelkich napisów, jakie wpadły mi w oko.

Pierwszy publiczny popis miał miejsce, kiedy do Dziadka przyszli koledzy. „To partyzanci” – wyszeptała mi do ucha Ba. Nie wiedziałem, co to znaczy, ale od razu spodobali mi się bardziej. Byli w wieku Dziadka i też palili papierosy. Wszyscy mi coś przynieśli: to słodycze, to owoce. Jeden z nich podarował mi książkę, którą sam napisał. Podpisał ją nawet, że jest dla mnie. Na okładce był pilot, statek i wybuch, jednak nie potrafiłem odczytać tytułu, co trochę zbiło mnie z tropu. Autor wyraził nadzieję, że może przeczytam książkę, kiedy już się nauczę czytać. Powiedziałem, że umiem czytać, tylko nie rozumiem, co oznacza tytuł. „Kamikadze, boski wiatr” – odczytałem na głos.

Moje oświadczenie potraktowano jak przechwałki małego brzdąca. Poczulem się dotknięty. Powtarzałem więc głośno, że umiem czytać, aż wreszcie zwróciło to uwagę dorosłych. Zaproponowali mi odczytanie tytułu gazety. Odczytałem tytuł. Potem przyszła kolej na nagłówki. Odczytałem nagłówki. Zacząłem się rozkręcać i czytałem pojedyncze zdania z różnych artykułów. Był wśród gości kolega dziadka, który podejrzewał, że nauczyłem się tego na pamięć, i podał mi inną gazetę. Powtórzyłem swoją „sztuczkę”. Partyzanci wyrazili uznanie i na tym się skończyło.

Fakt, że samodzielnie nauczyłem się czytać, nie wywołał u moich dziadków podziwu, jakiego się spodziewałem. Pomyślałem, że chyba nie jestem dla nich specjalnie ważny. Czy nie powinienem być dla nich ważny? Nie miałem mamy i to oni mnie wychowywali. Mieszkałem z nimi. Karmili mnie. Ubierali. Pamiętali, żebym się umył, ale nigdy na mnie nie patrzyli. Przyglądali się tylko fotografii na pianinie. Stawali przed nią. Szeptali.

Trasa W-Z

Mój świat się rozszerzał. Czasami w ciepłe wieczory Dziadek zabierał mnie na spacer. Zawsze bardzo ładnie się ubierał, nosił jasny garnitur i kapelusz i nie wychodził z domu bez laseczki. Najpierw chodziliśmy dokoła placu, a stopniowo coraz dalej, nawet dokoła zoo. Dowiedziałem się, że za parkiem Praskim biegnie Trasa W-Z, czyli wschód–zachód. Czasami przejeżdżały nią samochody jadące z Pragi na Stare Miasto. Za to na drugim końcu zoo była inna trasa prowadząca przez Wisłę, most Gdański. Ten most był ciekawszy, miał dwa poziomy – górnym jeździły samochody i autobusy, a dolnym tramwaje, stukot ich kół niósł się nad całą okolicą. Most Gdański mógłbym obserwować bez końca, ciągle coś po nim jechało, prawie nigdy nie był pusty.

– „Kiedy rano jadę osiemnastką, chociaż ciasno, chociaż tłok...” – nucił Dziadek.

I pokazywał mi tramwaj z numerem osiemnaście (jedynka i ósemka). Nigdy bym nie pomyślał, że śpiewają piosenki o miejscu położonym tak blisko naszego domu, to było kapitalne. A dalej były słowa: „na prawo most, na lewo most, a dołem Wisła płynie” – wszystko to o naszej okolicy, bo wystarczyło przejść na drugą stronę zoo, żeby zobaczyć jednocześnie oba mosty, jeden na prawo i drugi na lewo. Tam zaś, na rogu ogrodu zoologicznego, pod mostem Gdańskim, w zasięgu dzwonek pomykających tramwajów, było coś jeszcze – rzeźba lwa. Pięknego śpiącego lwa, tak wielkiego jak prawdziwy. Dziadek wyjaśnił mi, że to rzeźba z brązu, ale wcale nie była brązowa. Lew miał zielonkawą grzywę i cały błyszczał w słońcu. Kiedy byłem jeszcze mały, bałem się podejść do niego zbyt blisko. Później zacząłem go głaskać po miłym lśniąącym pysku. Pewnego dnia pomyślałem, że będę to robić przez całe życie – przychodzić w to miejsce i głaskać lwa.

Dom na drzewie

Miałem lalkę. Po mamie, ale taką bardziej chłopięcą. Szmacianego Murzynka o imieniu Lumumba. Był cały brązowy z białymi zębami. Lubiłem jego włosy, wyglądały jak pędzel. Miał na sobie tylko spódniczkę z suchej trawy, kruszyła się w palcach. To mama tak ład-

nie nazwała Murzynka. Powtarzałem: Lumumba, Lumumba, Lumumba. Miałem też książeczki, kolorowe w tekturowych okładkach. Nauczyłem się liter na klocek i rozpoznawałem je bez kłopotu, a mimo to nie rozumiałem żadnego z tytułów. Na przykład: es, en, o, wu, wu, ha, i, te, e. Na okładce była śliczna dziewczynka i krasnoludki. Zakochałem się w tej dziewczynce. Zastanawiałem się, dlaczego słowa „księżniczka” i „książeczka” są tak do siebie podobne. Wydawało mi się, że to nie może być przypadek.

Inna książeczka pokazywała przygody całej rodziny na bezludnej wyspie – ci ludzie mieli dom na drzewie, marzyłem o takim domu. Było tam kilkoro dzieci i duży pies, pływali razem po morzu na drewnianej łodzi, którą sami zbudowali. Jedyнным słowem, jakie udało mi się odczytać na kolorowych okładkach, było słowo Donald – zgadzały się wszystkie literki. Najbardziej lubiłem właśnie książeczki z Donaldem. W jednej z nich był detektywem (nowy wyraz) – oglądał ślady butów przez szkło powiększające. W ciemnej uliczce były takie cienie, że trochę się bałem. Była też książeczka z zegarem na okładce. Miał dwie wskazówki, jak prawdziwe zegary. Można je było ustawiać na dowolny czas, ale najpierw trzeba się było nauczyć godzin i minut. Czasami ktoś mi w tym pomagał. Dziadek namieszał mi trochę w głowie, bo jak już się nauczyłem minut i dzieliłem całą godzinę, to pokazał mi kwadrans. Powiedział, że piętnaście minut to jest kwadrans, ale nie powiedział dlaczego. Przynajmniej liczyłem już do sześćdziesięciu. Na początek.

Dziecko potrzebuje powietrza

Plac za oknem przemówił do mnie, gdy tylko zacząłem rozszyfrowywać napisy na wielkim budynku naprzeciwko. Na samym rogu, po lewej, gdzie sterczały ruiny, odczytałem dwa znane mi słowa: M-I-Ę-S-S-O oraz W-Ę-D-L-I-N-Y. Łatwizna, czasem zresztą zachodziłem tam z Ba. Przesuwając wzrok na prawo, rozpoznałem dwa kolejne: T-K-A-N-I-N-Y i P-A-S-M-A-N-T-E-R-I-A. Trudne słowa i same nudy, tam też bywałem i chodziłem pośród bel materiałów, kiedy Ba męczyła sprzedawczynię o tkaniny i kolory, o jakich nigdy nie słyszały. Dalej w prawo, nad najdłuższym sklepem na świecie – zajmował połowę najdłuższego budynku – świecił się napis D-E-L-I-K-A-T-E-S-Y.

Najdłuższy budynek świata, na który patrzyłem wprost z okna, składał się – podobnie jak mój – z dwóch części. Łączyła je dziwna konstrukcja, pięć pięter zawieszonych w powietrzu na olbrzymich filarach. Pod filarami można było przejść na drugą stronę, co skracało drogę mieszkańcom, ale miało też złe strony. Pierwszą był zapach sików, a bywało, że całe ich kałuże. Drugą stanowiło niebezpieczeństwo napadu, dziadkowie często o tym rozmawiali. Las filarów to idealne miejsce dla rozbójników, zwłaszcza po zmierzchu. Słyszałem też, że sama nazwa Praga odstrasza ludzi. Ja ją lubiłem.

Coraz lepiej poznawałem plac Leńskiego. Do tej pory oglądałem go przez okno, teraz częściej przyglądałem mu się z bliska, wdychałem jego zapachy, nie zawsze przykre. Przyjemnie pachniało z cukierni przy filarach w naszym domu. Dziadkowie zabierali mnie na spacer, ale zawsze osobno, nigdy nie szliśmy we troje. „Dziecko potrzebuje powietrza” – powtarzali. Spacer, polegają na tym, że trzeba powoli chodzić, nic nie robić, tylko chodzić. Nie było żadnych zabawek, ale i tak lubiłem spacerować. To był świat, a świat miał coś w sobie.

Baba Pela

Gdy tylko świat zaczął się rozszerzać, nasze mieszkanie zaczęło się kurczyć. Chciałem wychodzić coraz częściej i coraz dalej. Dla Ba to był kłopot, ale zgodziła się zabierać mnie na wypad do miasta. „Muszę jechać do Warszawy”, mówiła. Praga była dla niej gorszym światem, nie ukrywała tego, Praga była częścią jej niedoli. Uwielbiałem wyjazdy tramwajami i autobusami. Uwielbiałem przeprawy mostem przez Wisłę. W drodze do śródmieścia oglądałem zarys Starego Miasta, tak inny od znanych mi widoków, wracając – wielki czerwony szyld zoo na zielonym tle praskiej dżungli. Uwielbiałem przejazd przez tunel, a sama nazwa Trasa W-Z sprawiała, że serce biło mi szybciej. Nie przepadałem tylko za zakupami. Ba była wybredna i niemila dla obsługujących ją sprzedawczyń, grymasiła, nic się jej nie podobało i wszystko trwało w nieskończoność. A poza tym jeździliśmy tylko po materiały, z których w przyszłości miała sobie szyć sukienki. Było to dla niej bardzo ważne. W niektórych sklepach, wielkich, piętrowych, znajdowały się stoiska z zabawkami i Ba pozwalała mi na nie popatrzeć.

Bywałem także zabierany na dalsze wyjazdy. Właśnie „zabierany” – trochę jak bagaż. Zawsze w to samo miejsce i do tych samych ludzi. To miejsce było naszą kolebką, ci ludzie rodziną. Dziadkowie mówili, że jedziemy „w Świętokrzyskie”, nie mówili inaczej. Stamtąd pochodziła Ba, tam Dziadek pracował przed wojną, tam urodziła się mama. Może wtedy właśnie byli szczęśliwi, kiedyś przecież musieli być. Odwiedzaliśmy dom rodzinny Ba na obrzeżach miasteczka W. leżącego w malowniczej kotlinie pomiędzy wzgórzami. Dokoła były lasy, a w samym miasteczku znajdował się przepiękny klasztor. Nasza rodzina zawsze mówiła o nim z dumą, niewiele było takich klasztorów.

Pokochałem to miejsce, ponieważ było przeciwieństwem mojej codzienności. Rodzinny dom Ba był wielkim drewnianym budynkiem z werandą – kolejne nowe słowo, ale to właśnie werandę lubiłem najbardziej. W jej oknach było mnóstwo małych szybek, a w środku zawsze pachniało owocami. Cały dom miał własny zapach, jak żywa istota. Wewnątrz panował mrok, pokoje były ciemne w porównaniu z naszym mieszkaniem. W każdym pokoju stał piec, na piętrze piece były proste i białe, na dole – kolorowe i ozdobione pięknymi lśniącymi kaflami. Bardzo lubiłem, kiedy przed pójściem spać ktoś nagrzewał mi kołdrę na gorącym piecu, a potem rzucał ją na mnie z góry, kiedy leżałem w wielkim łożu. W tamtym domu wszystko było wielkie. W dwóch salonach na dole, do których rzadko ktoś zaglądał, stały pianino i fortepian. Słyszałem, że na tym fortepianie grywali Niemcy. Może oni jednak nie byli tacy źli?

Dom zaludniały cioteczki. Były tak stare jak Ba i wszystkie były jej siostrami. Nazywały się Aniela, Kachunia i Julia. Było ich więcej, w sumie pięć, ale dwie nie przeżyły wojny i niewiele się o nich mówiło. Z trzech, które pozostały w domu, najbardziej lubiłem Anielę – była dziwna, ale za to lubiła dzieci. Śpiewała piosenki i zawsze mnie pytała, czy chcę papierosa. Śmiałem się z tego i śpiewałem razem z nią, chociaż to nie były takie piosenki, jakie cioteczki śpiewały przy pianinie, do którego zawsze zasiadała Julia (fortepian był rozstrojony). One śpiewały *O mój rozmarynie*, a ciocia Aniela śmieszne słowa, na przykład „zna granice i kordony pieśni zew”, przy czym maszerowaliśmy we dwoje po salonie. Powtarzała mi, że żółta rasa zapanuje nad światem.

Ten wielki drewniany dom skrywał prawdziwą tajemnicę. W najbardziej oddalonym pokoju na dole, gdzie słońce wpadało najrza-

dziej, a na łóżku i krzesłach pełno było koronkowych poduszek, mieszkała Baba Pela. Była mamą ich wszystkich, moją prababcią, co mi z dumą powtarzano. Wszystko wokół niej było uroczyste jak niedziela. Może dlatego, że miała prawie sto lat? Sto lat! Kiedy mnie pytali, czy potrafię już liczyć do stu, od razu liczyłem do tysiąca. Oczywiście na głos, czekając, aż pouciekają.

Baba Pela miała wspaniałe białe włosy upięte w kok. Przesiadawała w fotelu pośród poduszek, a pod ręką miała laseczkę podobną do tej, którą posługiwał się Dziadek. Rzadko wychodziła z pokoju, oglądała tam wszystko wokół siebie – książki, fotografie, porcelanowe figurki i niezwykle modele kolejowe, których nie wolno mi było dotykać. Jej mąż, a mój pradziadek, Kazimierz, którego nigdy nie poznałem, bo umarł na długo przed moimi urodzinami, pracował na kolei. O tym też mówiło się z dumą. Prowadził lukstorpedę na linii Warszawa–Kraków, a wcześniej służył w gwardii pałacowej w Petersburgu. Dlatego że był wysoki i przystojny, mówiła Ba. Jeździł nawet do Wiednia, dokąd zabierał żonę. Z ich córek jedynie Ba podróżowała tak daleko. Baba Pela miała już dziewięćdziesiąt dziewięć lat, kiedy zapytano ją, jak jej minęło takie długie życie. Odpowiedziała: „Tak, jakby otworzyć i zamknąć drzwi”.

Góry i chmury

Mama umarła w grudniu, dokładnie w Barbórkę, a już w styczniu pojechaliśmy z ojcem w góry. Musiałem się nauczyć jeździć na nartach, bo ważne było, żeby każdy umiał jeździć. Polubiłem narty, ale nie rozumiałem nazwy Murzasichle – była dziwna i nie wiedziałem, co oznacza. Mieszkaliśmy u górali, którzy tłumaczyli, że to jakiś mur za rzeką, ale nie było widać ani muru, ani rzeki. Pewnie dlatego, że wszystko było zasypane śniegiem. To był kolejny inny świat: zimny, biały i oślepiający. Miałem centkowane futerko ze sztucznego ocelota i białą czapkę z wełny. Dostałem ciemne okulary, bo słońce wyciskało mi łzy. Kartki wysyłane do dziadków z Murzasichla pisałem własnoręcznie, ojciec dopisywał tylko adresy, mówił, że z litości dla listonosza albo żeby kartki nie trafiły do śmietnika.

Mieszkaliśmy u górali, która robiła pyszne pierogi, nigdy nie jadłem takich dobrych. Na nartach fajnie zjeżdżało się z góry długą, prościuteńką linią. Potem trzeba było wracać – i to mi się mniej

podobało. Zresztą gdziekolwiek chodziliśmy, zawsze musieliśmy iść z górki albo pod górkę, inaczej niż w Warszawie.

Było też coś, co sprawiało, że czułem się jak w bajce: widok na góry, na Tatry. Najpiękniejszy widok, jaki można sobie wyobrazić, chociaż czegoś takiego nigdy sobie nie wyobrażałem. Codziennie oglądaliśmy z ojcem górskie szczyty, niektóre z nich miały fajne nazwy, jak Świnica albo Rysy, które mogły zarysować chmury. Wszystkie były białe, postrzępione i tak wysokie, że dom przy placu Leńskiego wyglądałby przy nich jak zabawka. Niewyobrażalnie wysokie. A nad nimi rozciągało się niebo i kiedy nie patrzyło się w stronę słońca, to stawało się niebieskie jak woda. Byłem już kilka razy nad morzem, a to wyglądało jak morze do góry nogami. Wyrastały z niego góry i opadały na ziemię. Ani razu nie zapytałem, czy mama jest w niebie.

Ludożercy

Zanim w mieszkaniu dziadków pojawił się telewizor, oglądaliśmy przezrocza. Rzutnik pachniał bajkami, kiedy rozgrzewała się w nim żarówka, i Dziadek wytłumaczył mi, że tak pachnie ebonit. Kochałem te chwile: ciemny pokój, prześcieradło na szafie. Trzeba je było dobrze wyprostować, więc każdy róg obciążałem książką. Było inaczej niż zwykle, magicznie. Obracałem pokręteł, przesuwałem przezrocza, nie spieszyłem się.

Do moich ulubionych należeli *Krzyżacy* (zwykła klisza) i *Robinson Crusoe* (kolorowa). Przezrocza mogły być i takie, i takie, te kolorowe były dużo droższe. Kupowaliśmy je z Ba w sklepie zabawkowym na Dąbrowszczaków, bardzo rzadko. Zwinięte w pudełeczkach, jak wywołane filmy, miały wypisane na wieczkach tytuły. W domu najdłużej zatrzymywałem się na zdjęciu Krzyżaka z napisem „Całe ramię, całe ramię – odrąbał ci je polski topór!”. To musiało być straszne, ludzie rąbali ludzi. Z kolei na *Robinsonie* trochę się bałem obrazu „Na wyspę przybywają ludożercy”. Ludożercy siedzieli w łodziach i mieli pomalowane ciała. To było dużo straszniejsze: dlaczego ludzie zjadali ludzi? Ba powiedziała, że byli jeszcze dzicy. Dokoła rozciągało się landrynkowe morze, a na piaszczystym brzegu rosły wysokie palmy, chyba kokosowe. Pomyślałem, że tak na pewno wygląda raj. Oczywiście w niebie nie ma ludożerców.

Pierwszy dzień w szkole

– Chuj i pizda to nasza ojczyzna!
– Chujpizda to nasza ojczyzna!
– Chuj i pizda to nasza ojczyzna! – powtórzył jeszcze głośniej.
– Chujpizda to nasza ojczyzna! – powtórzyłem jeszcze głośniej po nim.

Miał na imię Szczepan. Był mniejszy ode mnie, ale krzyczał głośnie. Wykrzykiwał to swoje hasło, które od razu mi się spodobało, więc powtarzałem je po nim ile sił. To dziwne słowo było dla mnie nowe, wcześniej go nie słyszałem, ale dotyczyło ojczyzny, o której czasami rozmawiali dziadkowie. Ucieszyłem się, że już pierwszego dnia w szkole nauczę się czegoś fajnego i sprawię im przyjemność. A do tego poznałem kolegę. Marzyłem, żeby wreszcie mieć prawdziwego kolegę. Szczepan pokazywał mi fantastyczne rzeczy, których wcześniej nie znałem. „Ruchamy się?” – wołał. Doskakiwał do mnie i uderzał brzuchem o mój brzuch. Mówił, że tak się bawią jego „starzy”. Wybuchaliśmy śmiechem. Byłem szczęśliwy, że wreszcie jestem w szkole.

Od razu zaprosiłem Szczepana do domu, powiedziałem, że będziemy się razem bawić. Przyszedł chętnie, ale zdenerwowało to dziadków. Ba wyciągnęła mnie z pokoju i powiedziała, że „natychmiast mam się go pozbyć”. Wysyczała mi to do ucha i wepchnęła z powrotem, ale przecież nie mogłem tego zrobić. Przyszedł mój pierwszy kolega, na wspólną zabawę. Pokazałem mu samochody i co tylko miałem, pierwszy raz nie jeździłem nimi sam po podłodze. Siedzieliśmy naprzeciwko siebie, puszczając autka, i cały czas chciało nam się śmiać. To było cudowne!

Po pewnym czasie do pokoju wszedł Dziadek i dał nam po kromce chleba z pasztetówką i pomidorem. Ba zaglądała nerwowo, robiąc straszne miny, kiedy tylko jej się zdawało, że Szczepan nie patrzy. Nie rozumiałem, dlaczego wizyta kolegi ze szkoły tak bardzo jej przeszkadza. We wszystkich książkach, jakie czytałem, koledzy ze szkoły spotykali się po lekcjach. Zrobiło się jakoś nieprzyjemnie i w końcu nie powiedziałem dziadkom o chujpiździe.

Kiedy wreszcie pożegnałem się ze Szczepanem, byłem przekonany, że mimo wszystko wizyta kolegi wypadła wspaniale. Gdy jednak zniknął za drzwiami, Ba powiedziała, że to był pierwszy i ostatni raz

i żeby nigdy więcej „nie ważył się” sprowadzać nikogo do domu. Czulem, że Ba nie ma racji, ale kiedy pytałem ją dlaczego, wybuchała gniewem i krzyczała, że nie będę jej nikogo sprowadzać. W sumie to ja chciałem tych kolegów „sprowadzać” sobie, a nie jej, ale tego już nie powiedziałem, żeby nie wywołać dalszych wybuchów.

Nieoczekiwany zakaz zepsuł mi pierwsze dni w szkole. To, że Szczepan sprzedawał potem na swoim podwórku wyniesione ode mnie zabawki – mówiła o tym cała klasa i dzieci śmiały się ze mnie – nie poprawiło mi humoru.

Fotoplastykon

Było miejsce, w którym przezrocza oglądało się w specjalnym pomieszczeniu na specjalnej maszynie. Nazywało się Fotoplastikon Warszawski i wchodziło się tam przez bramę naprzeciwko Pałacu Kultury, olbrzymiego budynku, który sięgał chmur i był ich drapaczem (tak nazywał go ojciec), a następnie przez podwórko studnię, takie jak na Starej Pradze. Ojciec zabierał mnie na spacer do fotoplastykonu z Saskiej Kępy. Przechodziliśmy po moście Poniatowskiego na drugą stronę Wisły, potem most leciał nad ulicami (Dziadek mówił, że wtedy to już nie most, tylko wiadukt). Spacer z Saskiej Kępy zajmował nam godzinę w jedną stronę, ale lubiłem chodzić pieszo, zwłaszcza w ładne dni. Z wiaduktu było widać ściany domów całe podziurawione kulami, ojciec mi opowiadał, że to wszystko ślady ostatniej wojny, oczywiście strzelali do nas Niemcy. Wewnątrz fotoplastykonu było ciemno, z wnętrza wielkiego bębna wystawały okulary, a przed każdą parą stał stołek. Kiedy okulary były wolne i nikt nie zakrywał ich głową, padało z nich migotliwe żółte światło. Już za pierwszym razem poczułem, że w środku dzieje się coś nadzwyczajnego.

Za oglądanie trzeba było zapłacić i ojciec zwykle kupował bilet tylko dla mnie. Kiedy już znalazłem się wewnątrz, nie traciłem czasu – przystawiałem głowę do okularów i wybierałem przezrocza, które mnie interesowały. Najwięcej mieli zdjęć ze starych filmów oraz fotografii przedwojennej Warszawy. Część była trójwymiarowa, co oznaczało, że wszystko na zdjęciu jest jednocześnie ostre i trochę zamazane (ojciec mówił, że to „efekt głębi”). Moje ulubione serie nie były trójwymiarowe, ale pochodziły z filmów o Tarzanie i mogłem

je oglądać w nieskończoność. Dlaczego w kinach nie grali filmów o Tarzanie? Ba opowiadała, że często chodziła do kina na Tarzana, kiedy była młoda. Chętnie oglądałem też fotografie starej Warszawy. Rozpoznawałem niektóre ulice, Aleje Jerozolimskie albo most Poniatowskiego. Ludzie na tych starych fotografiach wyglądali podobnie jak Dziadek na spacerze. Zastanawiałem się, czy Tarzan się tarzał.

Najbardziej ze wszystkiego lubiłem jednak oglądać zdjęcia z dalekiego świata, z innych kontynentów. Z pustyni z karawanami wielbłądów, z dżungli z dzikimi tygrysami, ze wzburzonym morzem i falami uderzającymi o latarnię morską na wysokiej skale. Latem jeździliśmy z ojcem do Juraty, nad polskie morze Bałtyk, ale tam nie było skał, tylko piaszczysta plaża. No i fale były dużo mniejsze. Po drugiej stronie Juraty znajdowała się całkiem spokojna zatoka. Rwałem się do pływania i bez lęku wchodziłem do wody, ale kiedy przyglądałem się wzburzonym falom w fotoplastykonie, czasami odsuwałem głowę od okularów. Nie, do takiego morza na pewno bym nie wskoczył.

Przychodnia rejonowa

Mój ojciec otworzył nową przychodnię na placu Leńskiego, przy ulicy Dąbrowszczaków. Budowano ją przez kilka lat, a składała się z dwóch połączonych części – dla dorosłych i dla dzieci. Część dziecięcą widziałem z okna, bo wyrosła w miejscu, w którym wyburzono przedwojenne ruiny, i teraz to ona zasłaniała mi przystanek koło poczty. Ojciec otworzył całość, przeciął wstęgę i pisali o tym w gazetach. Na drugi dzień pani powiedziała podczas lekcji: „Tatuś naszego kolegi Danką otworzył wczoraj nową przychodnię na placu Leńskiego”. Potem napisała to na tablicy i wszyscy musieli przepisać do zeszytów.

Innego dnia pani zapytała na lekcji, kto zna hejnał mariacki. Domyślałem się, o co chodzi, ale wolałem się nie zgłaszać i było mi głupio. Chyba pierwszy raz w szkole nie byłem czegoś pewien. Pani podpowiadała, że to taka melodia codziennie grana na trąbce w Krakowie i nadawana przez radio. Stąd moje niezdecydowanie – nie mieliśmy radia. U ojca było radio i grało przez cały czas, od rana do wieczora. Kiedy tylko wchodziliśmy do mieszkania, ojciec mówił: „włączymy radyjko”. Wyłączał je przed snem albo nawet zasypiał przy

włączonym. Czasami kiedy zostawałem u niego na noc, budziłem się i słyszałem, że nadal gra. Po czym spałem dalej.

Na pytanie, kto słyszał hejnał mariacki, podniosło się w górę sporo rąk. Ja też podniosłem, w końcu hejnał słyszałem. Kiedy jednak pani zapytała, kto mógłby nam go zanucić, w powietrzu została tylko jedna ręka. Należała do chłopca, z którym jeszcze nie rozmawiałem i nie pamiętałem, jak się nazywa. Poproszony przez panią wstał i zanucił – nie naśladował trąbki, tylko powtórzył samą melodię, bardzo ładnie, podobnie jak w radio. To były długie, długie dźwięki. Zazdrościłem mu, bo ja bym tak nie potrafił. Kiedy usiadł, rozejrzał się z zadowoleniem po klasie. Rozpierała go duma. Miał trójkątną twarz, ale może był miły...

Fi–faj–fą–fam

Telewizor pojawił się niespodzianie. W mieszkaniu, w którym panowała wieczna cisza, przerywana najwyżej gadaniem Ba, nagle rozległ się obcy głos. A właściwie głosy. Raz włączony telewizor nie przestawał opowiadać i śpiewać. Przyciągał mnie, ale nie mówił do mnie. Opowiadał o sprawach, które mnie nie interesowały. Śpiewał piosenki, których nie znałem, bo skąd. Bardzo lubiłem piosenki. Ba pozostała w swoim ulubionym miejscu przy stole w dużym pokoju, ale teraz podnosiła oczy znad „Przekroju”, książki czy pasjansa i spoglądała na ekran. Nieufnie. Często reagowała na to, co słyszy. Kłamstwa, bzdury, komuna – ciągle powtarzała te słowa. Dziadek również pozostał na swoim miejscu w kuchni, gdzie siedział przy oknie i palił papierosy. W telewizji oglądał tylko wieczorne wiadomości.

Ja zbliżałem się do telewizora stopniowo, początkowo usypiał moją uwagę, ale z czasem zacząłem rozpoznawać programy, w których zwracał się do mnie. Pierwszym odkryciem była dobranocka nadawana codziennie o tej samej porze, w końcu nawet Ba zaczęła mi o niej przypominać. Byli tam chłopiec i dziewczynka, którzy cały czas ze sobą rozmawiali – nazywali się Jacek i Agatka i stali się moimi przyjaciółmi. Byli też gąska Balbinka i kurczak Ptyś, który się z nią przekomarzał, ale wołałem dzieci. Czekałem na ich wizytę i chciałem brać udział w ich małych przygodach na podwórku, bo w dobranockach nie było wielkich, dalekich wypraw. Był jeszcze Miś

z *okienka*, program dla starszych dzieci. Miś rozmawiał z człowiekiem o książkach, szkoda, że ze mną nie chciał porozmawiać. Przeczytałem więcej od tego misia: *Koziołka Matołka*, a także *O dwóch takich, co ukradli księżyc*. Przeczytałem całego *Ferdynanda Wspaniałego*, oba tomy, i nie zrozumiałem tylko jednego słowa: telepajęczarz.

Z czasem pojawiły się w telewizji programy, których nie mogłem się doczekać. Były to filmy rysunkowe, wesołe, z głośną muzyką i zabawnymi bohaterami, takimi jak Pies Huckleberry, który ciągle śpiewał kowbojską piosenkę, albo nieznośny Miś Yogi, który podkradał jedzenie ludziom przyjeżdżającym do lasu. Był film *Koń, który mówi*, już nie rysunkowy, bo występowali w nim prawdziwi aktorzy i rozmawiali z koniem o imieniu Ed.

Najwspanialsze w telewizji były jednak filmy Disneya, nawet *Ba* mówiła, że „nie ma to jak Disney”. Trafiły się rzadko, właściwie tylko w święta, za to rozpałały wyobraźnię na całe miesiące. Najczęściej przypominał mi się przed zaśnięciem film *Mickey i czarodziejska fasolka*. Kiedy Miki wspinał się do nieba po magicznej fasoli, trafił do królestwa straszego Olbrzyma, który cały czas podśpiewywał sobie: „Fi-faj-fą-fam”. Nie rozumiałem, dlaczego Olbrzym mieszka w niebie. Była tam również piękna złota harfa i kiedy Miki porwał ją na ziemię, Olbrzym rzucił się za nim w pościg. Jednak Miki był pierwszy i ściął magiczną fasolę siekierą, przez co olbrzym spadł z wielkiej wysokości. A kiedy leżał już na ziemi i umierając, pomrukiwał: „Fi-faj-fą-fam”, zrobiło mi się go strasznie, ale to strasznie żal. Później ciągle to do mnie wracało, bo ta piosenka ani trochę nie pasowała do umierania.

To dzięki telewizji na krótko zainteresowałem się lustrem. Sprawili to amerykański serial *Bonanza*. Oglądaliśmy razem wszystkie odcinki – *Ba*, *Dziadek* i *ja*, w każdą niedzielę. Przynajmniej wiedziałem, że mogę spokojnie oczekiwać na szczęśliwe zakończenie. Często w filmie chodziło o kobietę, ale ojciec i jego synowie zawsze na końcu zostawali sami, co przyjmowałem z ulgą. Nie chciałem, żeby coś się zmieniło w ich domu, było im dobrze ze sobą. Poza tym mieli konie.

Największe wrażenie robił na mnie Joe, najmłodszy z synów. Może dlatego, że był mi najbliższy wiekiem? *Wspaniale* jeździł konno, strzelał z rewolweru i umiał się bić na pięści. Byłem przekonany, że nadawałby się nawet na wojnę. A do tego pięknie wyglądał – w kapeluszu czy bez. Sam chciałem wyglądać jak Joe, ale stawałem przed

lustrem i widziałem, że zupełnie go nie przypominam. W końcu odgadłem, na czym polega różnica. Od tej chwili kilka razy dziennie stawałem przed lustrem i z całych sił obiema rękami przyciskałem sobie czoło do dołu. Joe miał niskie czoło, ja przeciwnie.

Poza *Bonanzą*, która łączyła naszą trójkę przed ekranem, oglądało się wieczorne wiadomości. Nie interesowały mnie, za to u Dziadka i Ba powodowały nerwowe wybuchy. Nie podobało im się to, co widzą, ale dlaczego? Na moje nagabywania odpowiadali, że jestem za mały na takie sprawy. Komentarze Ba też nie pomagały, bo powtarzała tylko: „Co oni nam zrobili, co oni nam zrobili?”. Zawsze ci „oni”. To w końcu byli Niemcy czy komuniści? Dziadek ciągle palił papierosy, otaczały nas kłęby dymu.

Danek jestem

Na moje pierwsze kontakty ze szkołą złożyło się kilka rzeczy naraz. Nowi koledzy, bo ze Szczepanem już nie rozmawiałem. Nowe słowa, nieobecne w rozmowach dziadków ani w książkach. Staralem się je zapamiętać. Nowa była też pani, wychowawczyni naszej klasy. Od razu poczułem, że łączy nas coś wyjątkowego, bo poza panią nie miałem w klasie z kim pogadać. Wszyscy byli ode mnie starsi, dziadkowie posłali mnie do szkoły o rok wcześniej. Dlatego że byłem nad wiek rozwinięty albo po to, żebym nie siedział w domu – mówili tak i tak. Wszystkie dzieci chodziły wcześniej do przedszkola, tylko ja nie. Dziadkowie mówili, że całe szczęście, jednak nie miałem wielu wspólnych tematów z innymi uczniami. Chciałem rozmawiać o podróży, pytałem koleżanki i kolegów, co czytają, ale rozmowy się nie kleiły. Wszyscy byli tacy... dziecinni. Za to pani była ładna i miła. Staralem się jak najczęściej patrzeć jej w oczy ponad głowami dzieci, jakbyśmy w całej klasie byli tylko my dwoje. Kiedy zadawała ćwiczenia, w których uczniowie poznawali literki, wzruszałem ramionami. Oboje wiedzieliśmy, że mam to w małym palcu. Codziennie czytałem coś pod ławką.

Była inna nowa rzecz, nic fajnego. Niektórzy uczniowie, zwłaszcza starsi, zachowywali się niegrzecznie, a nawet wrogo wobec młodszych. Nie tylko wobec mnie. Popychali nas na przerwie, próbowali zrzucić ze schodów. I mówili takie słowa, że nawet słysząc je pierwszy raz, nie miałem wątpliwości, że są brzydkie. „Spierdalaj

stąd! Kopnę cię w dupę, gnojku!” Nie wiedziałem, jak reagować na te zaczepki. Nie zamierzałem się bić z łobuzami. Po pierwsze, nie wiedziałem, jak się to robi. Po drugie, bałem się, że to boli. A bólu bałem się okropnie. Bałem się, że uderzą mnie w twarz.

Pani poznała się na mnie i od początku traktowała inaczej niż pozostałe dzieci. Prosiła, żebym odczytywał na głos ćwiczenia, a ja byłem dumny z tego, że – najmłodszy w klasie – czytam jak dorosły. Często sam się zgłaszałem, żeby wyjaśnić coś reszcie klasy. Pomagałem pani – byłem stworzony do tej roli. Nie interesowało mnie, co myślą na mój temat koleżanki i koledzy. No może niezupełnie wszyscy, ale większość na pewno. Zależało mi na opinii jednej Hani, która mi się podobała, i jednego Andrzeja, który nosił okulary, ale mimo to chciałem, żeby został moim kolegą. Nawet jeżeli nie będę mógł go zaprosić do domu.

Zakolegowaliśmy się w końcu dzięki wspólnej rozróbie. Nie wolno było biegać w czasie przerwy, groziło to surowymi karami, takimi jak uwaga w dzienniczku, a nawet wezwanie do pani dyrektor. Jedno i drugie brzmiało strasznie, ale tamtego dnia Andrzeja i mnie ogarnęła wielka radość. Coraz częściej spędzaliśmy razem czas na przerwach i wyglądało na to, że zostaniemy kolegami. Rozochoceni biegaliśmy jak szaleni. Ganiałiśmy się po szkolnym korytarzu niepomni zakazów, co nie mogło trwać długo. Zatrzymała nas w końcu nieznana nauczycielka, nie mieliśmy z nią lekcji. Nawet nas nie zwymyślała, ale kipiała gniewem, trochę jak Ba. Wyjęła notes i zapytała, z której jesteście klasy. Odpowiedzieliśmy, po czym kazała nam podać nazwiska. Wtedy, ku mojemu zdumieniu, Andrzej powiedział: „Ja jestem Danek Wyszogrodzki”. Przejrzałem jego chytrą grę i podchwyciłem: „A ja nazywam się Andrzej Trojanowski”. Wykołowaliśmy ją. Obaj dostaliśmy uwagi w dzienniczkach, ale zostaliśmy z Trojanem prawdziwymi kumplami, na dobre i na złe. A tamta okropna nauczycielka nigdy nie odkryła naszej sztuczki.

Cudowna podróż

Telewizor rzadko mnie przyciągał. Czytałem. O *krasnołudkach i o sierotce Marysi* – bardzo smutne, bardzo. *Cudowną podróż*, szwedzką książkę o niedobrym chłopcu, który zmniejszony za karę do roz-

miarów skrzata leciał na szyjach dzikich gęsi – to też było chwilami smutne, ale za to piękne. To miała być kara? Chciałbym lecieć tak jak on, odbyć daleką podróż, może nawet taką, z której się w ogóle nie wraca, która trwa bez końca. Miałem też w domu *Podróże Guliwera* z kolorowymi rysunkami, najbardziej podobał mi się ten, na którym Guliwera związali maleńcy Lilipuci. Czytałem *Baśnie* Andersena, najpierw w jednym tomie z ilustracjami Szancera (Ba mówiła, że to najlepszy ilustrator), a potem w trzech oprawionych w płótno, i zawsze płakałem przy śmierci dziewczynki z zapalkami. Była to najsmutniejsza historia, jaką przeczytałem – do czasu kiedy znalazłem w domu *Nowele* Sienkiewicza.

Kosmonauta

Na chłopca z trójkątną twarzą, który tak ładnie zaśpiewał hejnał mariacki, wszyscy wołali Trefniak. Zdaje się, że było to przewisko z podwórka, bo przyszedł z nim do szkoły. A może to ono za nim przyszło? W każdym razie ten chłopiec wszystkich denerwował. Zgłaszał się do odpowiedzi na każde pytanie i nie chciał się z nikim bawić. Wydawało mu się, że jest lepszy od innych, a mnie wydawało się tak samo. Z tym, że to ja naprawdę byłem lepszy. Kiedy koleżanki i koledzy uczyli się liter, czytałem powieści przygodowe – także na lekcjach. Pani udawała, że tego nie widzi, bo musiała nauczyć inne dzieci liter, a mnie uczyć nie musiała. Czytałem wtedy – poza *W pustyni i w puszczy*, do której mogłem wracać co miesiąc – wszystkie znalezione w domu powieści podróżnicze, głównie Ferdynanda Ossendowskiego, tych było najwięcej. Po mojej mamie.

Trefniakowi daleko było do mnie, jeśli chodzi o czytanie, ale raz, że miał coś do powiedzenia na każdy temat, a dwa, że zawsze mówił coś innego, niż ja bym powiedział. Pani zapytała nas kiedyś, czym się interesujemy tak dla siebie, poza szkołą. Dziewczynki mówiły okropne rzeczy o lalkach i sukienkach i tylko jedna Hania, ta, która mi się podobała, powiedziała, że po lekcjach chodzi do szkoły muzycznej. Ja od razu podniosłem rękę i powiedziałem, że moją wielką pasją (tak powiedziałem: „wielką pasją”) są podróże, egzotyczne podróże do dalekich krajów, i że kiedyś pojedę do Afryki. Nie zrobiło to większego wrażenia na koleżankach i kolegach, co najłatwiej było wytłumaczyć ich nieznaną geografii.

Tymczasem Trefniak zaskoczył wszystkich. „Interesuję się techniką – powiedział. – Zamierzam zostać konstruktorem i skonstruować rakietę, którą polecę na Księżyc”. Nawet nie usiadł po tych słowach, skubany, tylko się rozglądał. Moja pierwsza myśl była taka, że ja kiedyś naprawdę pojadę do Afryki, a on opowiada bajki o Księżycu, ale nikomu to nie przeszkadzało. Trefniak awansował na kosmonautę.

Klarnet basowy

Raz w tygodniu bałem się telewizora. Dziadkowie oglądali serial, w którym była przerażająca muzyka. Kładli mnie spać w moim pokoju, zamykali drzwi do swojego i gasili światła. Robiło się strasznie. Przez matowe szyby w drzwiach nic nie było widać, ale przebijał blask ekranu i cały przedpokój tonął w sinych, ruchomych cieniach, a z telewizora dobiegała muzyka, od której cierpła mi skóra. Było w niej okropne napięcie i niepokój, więc ja sam stawałem się napięty i niespokojny, wydawało mi się, że ktoś się skrada. Ba ciągle powtarzała, że ma „wykończone nerwy”, a kiedy słuchałem tej okropnej muzyki, też byłem „cały w nerwach”, tak jak ona. Najgorsze ze wszystkiego było słyszeć, a nie widzieć. Te okropne dźwięki wydawał klarnet basowy, tak powiedział mi Dziadek, który znał wszystkie instrumenty. Najpierw grała muzyka, potem długo rozmawiali aktorzy, ale ta muzyka powracała i powracała, a ja nie mogłem zasnąć. Serial nosił tytuł *Kapitan Sowa na tropie*.

To ojciec zwrócił moją uwagę na fakt, że telewizja jest czarno-biała. Sam tego nie zauważyłem. Rzeczywiście – w telewizji drzewa wcale nie były zielone, niebo nie było niebieskie, a wszystkie zwierzęta w kreskówkach wydawały się podobnie szare.

- Dlaczego?
- Bo nie mamy kolorowych telewizorów.
- A są takie?
- Jasne, że są, ale w Ameryce.
- A dlaczego u nas nie ma?
- Dlatego że to Ameryka wygrała wojnę.
- Aaa... A z kim?
- Jak to z kim? Nie wiesz takich rzeczy? Z Niemcami.
- A my przegraliśmy?
- Nie, my też wygraliśmy.

- W takim razie dlaczego nie mamy kolorowych telewizorów?
- Jesteś jeszcze za mały, zrozumiesz to wszystko, jak dorośniesz. To już nie zapytałam, jakie telewizory mają teraz Niemcy.

Lenin i dzieci

Nasza pani, ta ładna i miła, często zadawała uczniom pytania, a ja uważałem za swój obowiązek za każdym razem zgłaszać się do odpowiedzi. Rozumiałem, że musi od czasu do czasu zapytać kogoś innego, ale odpowiedzi koleżanek i kolegów zwykle były nieciekawe. Moje odpowiedzi przyjmowała z zadowoleniem do dnia, kiedy poprosiła nas o wymienienie nazwisk sławnych Polaków. Nie zaczęła ode mnie, spodziewając się słusznie, że stać mnie na więcej niż dzieci odpowiadające: Kopernik, Sienkiewicz, Szopen, Mickiewicz, Władysław Gomułka, Włodzimierz Lubański. Część klasy rozbawił pan Twardowski, którego wymieniła jedna dziewczynka.

Spokojnie trzymałem w powietrzu wyprostowaną rękę. Po pewnym czasie ręka zaczynała omdlewać, to naturalne. Pani najwyraźniej zachowała mnie na deser, a ja wiedziałem, że jej nie zawiodę. Kiedy więc padło wreszcie oczekiwane przeze mnie „A co nam powie Danek?“, wyciągnąłem z rękawa same asy: Grot-Rowecki, Bór-Komorowski, Rydz-Śmigły... Fascynowały mnie te podwójne nazwiska, miały w sobie jakąś przygodę. Bardzo mi się podobało nazwisko Bohusz-Szyszko, lubiłem powtarzać je na głos, fajnie brzmiało. A już wizja „śmigłego rydza” była wprost fantastyczna – słyszałem na wyjazdach piosenkę *Rudy rydz*, która też mi się podobała. A cioteczki z W. chodziły na rydze do Puszczy Jodłowej, miały tam swoje sprawdzone miejsca. W mojej rodzinie często mówiło się o rydzach, z których śmigły interesował mnie najbardziej. Ku memu zaskoczeniu nie spodobał się pani. Przerwała mi i nawet nie zapytała, skąd znam te wszystkie nazwiska, a przecież w moim domu słyszało się je często.

Zmieniła temat, a po lekcji zapytała, kto tego dnia odbiera mnie ze szkoły. Dziadek? Dobrze, w takim razie niech Dziadek do niej zajrzy, bo chciałaby z nim porozmawiać. Rozmawiali długo. Nie słyszałem o czym, ale rzucali na mnie zatroskane spojrzenia. Nie wiedziałem, czy mam się bać, a już z pewnością nie wiedziałem dlaczego. W drodze do domu Dziadek nic mi nie powiedział. A potem zamknęli się z Ba w kuchni i znowu rozmawiali – Dziadek mówił cicho, Ba głośno.

Ja w tym czasie przypomniałem sobie kilka innych podwójnych nazwisk: Wieniawa-Długoszowski, Przerwa-Tetmajer. Ten ostatni był fajowski: Przerwa! Dziadkowie też w końcu przerwali, ale niczego mi nie wyjaśnili.

Kiedy drugi raz czegoś nie zrozumiałem, było gorzej. Zaczęło się od konkursu. Pytania były jak zwykle łatwiutkie, liczyła się tylko nagroda, bez której nie mogłem przecież wrócić do domu. Sama nagroda nie miała większego znaczenia, chodziło o fakt jej zdobycia. Pytania dotyczyły różnych drzew (żołędzie na dębie, kasztany na kasztanowcu), a nagrodą był plakat z Leninem – niezbyt duży, ale kolorowy, a ja tak bardzo chciałem pochwalić się w domu zdobyczą. Pytania były łatwe, więc większość dzieci podnosiła ręce, mnie jednak pani nie wywoływała. Wyciągałem rękę niczym dzidę, celując prosto w jej oko. Zgłaszające się dzieci pojękiwały i ja też zacząłem w końcu pojękiwać: „Ja, ja, ja...”. Pani rozglądała się po klasie, ale na mnie nie patrzyła. Plakatów z Leninem było mniej niż chętnych, więc pojękiwaliśmy coraz głośniej, a w niejednym oku pojawiła się łza.

W końcu dostałem plakat. Wyżebrałem go, wymusiłem, ale z tym większą satysfakcją niosłem zrolowanego Lenina do domu, aby dopiero tam jak trofeum rozłożyć go przed Ba i Dziadkiem. Nie ucieszyli się i wcale mnie nie pochwalili, za to patrzyli na mnie tak obco, że aż się wystraszyłem. W końcu wzięli ode mnie szkolną zdobycz i włożyli głęboko do szafy w przedpokoju, a mnie zbierało się na płacz. Znowu zamknęli się w kuchni i znowu rozmawiali. Tym razem oboje podniesionymi głosami, ale i tak nie mogłem usłyszeć, o co się spierają.

Na koniec to Dziadek wyszedł do mnie i powiedział, jakby się nic nie stało: „Nie przynoś więcej takich rzeczy. Nie mamy w domu miejsca. Sam widzisz, że nie wiadomo, co z tym zrobić. Idź odrób lekcje”.

Muka! Była!

Koledzy z klasy pokazali mi na przerwie zabawę. Nie była zabawna, ale za to popularna. Nazywała się muka. Polegała na tym, żeby podejść do kogoś, kto się niczego nie spodziewa, wykonać gwałtowny ruch ręką w dół, pochylając się tuż przed tą osobą, i zawołać: Muka!

Jeżeli ten ktoś się pochylił, co było naturalnym odruchem wobec takiego niby-ataku, muka „była”, czyli się liczyła. Jeżeli utrzymał wyprostowaną pozycję i nawet nie drgnął, co nie zdarzało się zbyt często, wtedy muki nie było. Pudło. W wypadku wygranej wymierzało się karę – prosty cios otwartą dłonią w ramię. Nie należało uderzać zbyt mocno, ale jednak konkretnie.

Muka! Była! Nie było! A właśnie że była! A wcale że nie, bo nie było! – takie okrzyki rozbrzmiewały na przerwach ze wszystkich stron. Grze nieustannie towarzyszyły kłótnie, a przy braku sędziów sprowadzały się do awantur, które wygrywał głośniejszy. Moda na mukę przychodziła falami, nagle przez kilka dni grali w nią wszyscy, potem znikwała bez śladu do czasu następnej fali. Ja tam za muką nie tęskniłem. Na początku wydawało mi się, że dzieci krzyczą: „Mów kobyla!”.

Praski Disneyland

Pewnego dnia nad domem, w którym nigdy nic się nie działo, rozstały się chmury. Przyjeżdżała „rodzina z Kanady”. Wcześniej nie wiedziałem, że mamy tam rodzinę, ale wystarczyło mi, że gdzieś w okolicach Kanady rozgrywa się *Bonanza*. Dziadek i Ba nie wtajemniczali mnie w tematy rodzinne, tymczasem okazało się, że rodzony brat Dziadka mieszka w Kanadzie i ma tam syna i wnuka. Brat Dziadka nie był w Polsce od czasu wojny, ale nie chciał tu wracać. W odwiedziny przyjechali za to jego syn i wnuk. Ten ostatni był starszy ode mnie, miał czternaście lat. Marzyłem, że polubi mnie tak bardzo, że do Kanady wrócimy już razem. Chętnie bym wyjechał. Wyobrażałem sobie przygody, jakie moglibyśmy tam przeżyć.

Ba przyrzędziła kolację i oboje z Dziadkiem byli ładnie ubrani. Dziadek wydawał się przejęty, nie widział się z bratankiem od czasu wojny, a „jego chłopaka” nie miał nawet jak poznać. Rodzinie z Kanady nie wolno było przyjeżdżać do Polski przez wiele lat, na szczęście „czasy się trochę zmieniły”. Kiedy przybyli i weszli do niewielkiego mieszkania przy wielkim placu, z wrażenia zapomniałem się przedstawić. Sami musieli o mnie zapytać. Bratanek Dziadka nazywał mnie „jej synem”. Obaj byli wysocy i szczególnie się mną nie interesowali. W końcu dorośli zajęli się sobą, a ja zabrałem kuzyna do swojego pokoju i pierwszy raz poczułem, że nie jest to jakies

wyjątkowo fajne miejsce. Pokój się nie zmienił, ale wydał mi się teraz mały i brzydki. Tak niewiele miałem do pokazania. Na szczęście krewni z Kanady sami postarali się o atrakcje. Przywieźli projektor filmowy!

Po kolacji duży pokój przygotowano do pokazu. Z początku nasi goście próbowali wyświetlić film na ścianie, ale była nierówna, co psuło obraz. Dziadek z bratankiem wypili do obiadu kilka kieliszków i teraz podśmiewali się, mówiąc o „komunistycznych tynkach”. W końcu Ba – raczej niechętnie – przeznaczyła na ekran wymagowane prześcieradło. Kiedy powstało już domowe kino, bratanek Dziadka włączył projektor i objaśniał nam, co oglądamy. Filmy były bez głosu, za to kolorowe. Nasze mieszkanie po raz pierwszy stało się miejscem magicznym, fantastycznym, bajkowym. Miałem w domu kino!

Wujek, jak kazano mi nazywać starszego z gości, pokazywał filmy z ich kanadyjskiego domu, który był większy i piękniejszy od wszystkich domów znanych mi z miasteczka W. Pokazywał też filmy z wakacji, na jakie jeździli dużą grupą, żeby się kąpać, żeglować, łowić ryby. Oglądałem palmy, plaże i morze o kolorach, jakich nie widziałem nigdy wcześniej. Poddając się miarowemu turkotowi projektora, wchłaniałem każde słowo wujka. Najbardziej mnie zaskoczyło, że w Kanadzie jest tyle samochodów, a tam, dokąd jeździli na wakacje – tyle wielkich łodzi. Jak ja chciałem znaleźć się tam razem z nimi...

Domowe kino nie było końcem niespodzianek. Wysoki kanadyjski kuzyn powiedział, że ma dla mnie „coś specjalnego”. Prezent? Pudełko było kolorowe z trudnymi napisami. W środku znajdował się 3-D VIEW MASTER, a urządzenie wyglądało jak plastikowe okulary, duże, jak do jazdy na nartach. W pudełku były też tekturowe kółka z małymi zdjęciami rozmieszczonymi równo przy krawędzi. Wkładało się takie kółko do okularów (specjalna szparka) i zaglądało do środka. A tam ukazywał się... inny świat! Trójwymiarowe zdjęcia okazały się o niebo lepsze od tych w fotoplastykonie. To były obrazy z prawdziwego świata, a wujek powiedział, że niedługo wszystkie fotografie będą trójwymiarowe, nawet w gazetach. Zaglądałem do środka i oglądałem przepiękne widoki: góry, lasy, jeziora, amerykańskie parki, a wszystko wyglądało jak prawdziwe. Na każdym kółku było czternaście zdjęć, czyli siedem różnych, bo na widok składały

się dwie fotografie, po jednej na oko. Wodospady, pustynie i morskie fale.

Dostałem też dodatkowy komplet przezroczy: Disneyland! Nie wiedziałem, że istnieje takie miejsce, znałem tylko kilka filmów Disneya, ale poczułem się tam jak w domu, bo to był dom Kaczora Donalda, dom Myszki Miki, wznosił się tam zamek Kopciuszka o sięgających nieba wieżach. Właśnie wtedy, na koniec najbardziej emocjonującego wieczoru mojego życia, po wyjściu gości, których Dziadek zaprowadził do taksówki razem z ich projektorem kolorowych marzeń, podjąłem postanowienie: pojadę do Ameryki. Zobaczę wszystkie te wspaniałe miejsca nazywane parkami. A na koniec mojej amerykańskiej przygody zostawię sobie Disneyland. Podam rękę Myszce Miki – widziałem na zdjęciach, jak robią to inne dzieci. Spotkam samego Kaczora Donalda i odwiedzę Kopciuszka w jego zamku. Możliwe, że zostanę tam na zawsze – w Disneylandzie albo w Ameryce, dla mnie to było prawie to samo. A teraz chciałem już tylko zasnąć z okularami 3-D VIEW MASTER i obudzić się z nimi. Czasami śniło mi się, że latam, pływałem żabką w powietrzu nad całą klasą, ale po przebudzeniu zawsze byłem rozczarowany i czułem się nieszczęśliwy. Gdyby miało się okazać, że 3-D VIEW MASTER był tylko snem, chyba bym tego nie przeżył.

Naszych gości, naszą kanadyjską rodzinę, spotkałem jeszcze raz. Dziadkowie uznali, że trzeba zająć się kuzynem, zapewnić mu rozrywkę i pozwolić nam spędzić trochę czasu razem. W tym celu wybraliśmy się do zoo, które – jak mój pokój – nigdy wcześniej nie wydawało mi się tak brzydkie, smutne i szare. Lubilem zoo, ale tym razem miałem ochotę uciec do świata trójwymiarowych parków. Dziadek i Ba zafundowali nam zdjęcie na wielbłądzie. Weszliśmy na obojętne zwierzę, wysoki czternastolatek i malec, który nie miał szans stać się jego kumplem. Pan fotograf powoli wykonywał swoją powinność.

A potem Kanadyjczycy, goście z innej planety, znikli tak szybko, jak się pojawili. Została mi po nich kolorowa przegładarka i czarno-białe zdjęcie, na którym siedzimy we dwóch na wielbłądzie. Mój kanadyjski kuzyn w moim warszawskim zoo. I nawet wielbłąd widzi, że nie jest trójwymiarowy.

Dąb Bartek

Cieszyłem się z każdego wyjazdu do miejscowości W. Co prawda mieszkali tam same stare cioteczki, ale wszystkie były cudowne, a poza tym kochałem tamten dom. Wielki, pełen zagraconych pomieszczeń, do których nikt nie zaglądał i po których można było urządzać wyprawy. Kochałem werandę pachnącą owocami i ziołami, a pod koniec lata ogórkami małosolnymi, z których robiło się najpyszniejszą na świecie „świętokrzyską sałatkę” – składała się z pokrojonych pomidorów, cebuli i ogórków małosolnych, a wszystko to było posypane solą i odrobiną pieprzu. Taka sałatka już po chwili puszczała sok, a kiedy poczekało się trochę przy misce, można go było spijać, oczywiście kiedy nikt nie patrzył, chociaż cioteczki przymykały oczy na takie rzeczy – najgorsza była Ba, której wszystko przeszkadzało i którą wszystko denerwowało.

Najpiękniejszym zapachem jesieni był aromat suszonych grzybów. Kiedy zaczynał się sezon grzybobrania, wszystkich w domu ogarniała gorączka i cioteczki codziennie ruszały na wyprawy do lasu, który zdawał się nieskończony. Wszyscy mi mówili, żebym się nie zgubił, bo to jest Puszcza Jodłowa i jeśli ktoś za bardzo się oddali, to może nie wrócić. Trochę się tego bałem, ale nie jakoś szczególnie, bo po pierwsze samo słowo „puszcza” brzmiało zachęcająco (jak w powieściach przygodowych), a po drugie cioteczki rozchodziły się na wszystkie strony i same gubiły się od razu po wejściu do lasu.

W czasie grzybobrania każdy chce zebrać więcej grzybów niż inni, więc grzybiarze nie lubią, kiedy ktoś ich obserwuje. Szybko tracą się nawzajem z oczu, a gdy już się zorientują, że stracili się z oczu, zaczynają się nawoływać. Po całej puszczy rozlegały się okrzyki: „Halinaaa! Kachuniaaaa! Julaaa!” Ale głosy oddalały się, okrzyki słabły i w końcu robiło się cicho. Cioteczki raczej się nie odnajdywały, ale zawsze wracały do domu przed zmierzchem z koszami grzybów, które ledwie mogły udźwignąć. Dla mnie grzybobranie było jak o wiele za długi spacer. Grzybów nie zbierałem, bo się na nich nie znałem, a na grzybach trzeba się znać. Opowieści o śmiertelnych zatruciach umilały cioteczkom wszystkie wieczory spędzane na czyszczeniu i obieraniu zdobyczy. Potem nad kuchnią i nad piecami, a następnie w całym domu pojawiały się wieńce suszących się grzybów, a jak się ususzyły, lądowały w płóciennych workach i trafiały na werandę.

Kiedy nie chciało mi się chodzić cały dzień po lesie, to znaczy po puszczy, zwłaszcza pod opieką jakiejś zapalanej grzybiary, którą musiałem stale mieć na oku, bo już po chwili zapominała o moim istnieniu, zostawałem w domu z ciotką Anielką, najfajniejszą ze wszystkich. Czasem zwracała się do mnie „smyku basalyku”, co było miłe. Czasem straszyla mnie bolszewikami. Pytała mnie, czy wiem, kto to jest bolszewik. Po kilku razach wiedziałem, co mi powie, ale udawałem, że nie wiem. A wtedy ona wstawała, robiła straszną minę, podnosiła ręce i łapała mnie za ubranie albo wyrывała z ręki jabłko, jeżeli właśnie jadłem jabłko (nieustannie jadłem jabłka, cioteczki mówiły, że jak jedno kończę, to w drugiej ręce mam już następne, i cieszyło je to). Robiła minę jeszcze straszniejszą i wołała: „Było twoje, a tiepier budiet moje!”. To oznaczało bolszewika, ale i tak wołałem, żeby mi opowiadała, jak żółta rasa zapanuje nad światem.

W miasteczku W. wszędzie mieliśmy rodzinę, cała okolica to byli znajomi i rodzina. Wszyscy znali się ze szkoły albo z partyzantki, a teraz chodzili razem na Wykus. Mnie też czasami zabierali. Szło się półtorej godziny, ale wracało tylko godzinę, bo było z górki. Dziadek był wtedy bardzo poważny, bo osobiście znał Ponurego (pomyślałem, że sam robił się tam ponury), zresztą wszyscy go tam znali i pamiętali. Wiedziałem tylko, że Ponury był bohaterem, który walczył z Niemcami w Górach Świętokrzyskich. Ba powtarzała, że tamtejsi ludzie to wielcy patrioci, ona sama też była tamtejsza, tyle że wyjechała za Dziadkiem do Warszawy. Było coś w ludziach z W., co sprawiało, że wszystkich tam lubiłem. Byli uprzejmi i mili, zapraszali do siebie na ciasto i herbatę i przyjemnie się z nimi rozmawiało. Wspominali wojnę podobnie jak dziadkowie, ale mieli też inne tematy, interesowali się sprawami w Warszawie i polityką (to było najnudniejsze), ale zawsze wypytywali mnie o szkołę i mogłem porozmawiać z nimi o tym, co czytam. Pytali też, czy pamiętam mamę. Oni ją pamiętali.

Zbierali dowcipy o W. i ciągle je sobie opowiadali. Nie wszystko w nich rozumiałem. Zaśmiewali się na przykład z takiego: Sołtys miał ulubionego warchlaka, kochał go bardzo i rozpieszczał, ciągle karmił, dawał mu smakołyki, sam odejmował od ust sobie, aż mu go... porwał jastrzęb. Nie wiedziałem, co w tym zabawnego, a wszyscy się zaśmiewali. Jastrzębie widywałem na niebie, zresztą kiedy jechało się z Warszawy pociągiem, po drodze była stacja kolejowa Jastrzęb.

Kiedy pociąg z niej odjeżdżał, Ba zaczynała szykować się do wyjścia. Inny kawał był taki: Dlaczego w miejscowości W. wszyscy przychodzą bosy na tańce? Żeby było słycać muzykę ze Starachowic.

Starachowice były kawałek dalej, za lasem. Czasami przejeżdżaliśmy tamtędy podczas wycieczek samochodowych, które były wielką atrakcją pobytu u cioteczek. Niedaleko ich domu mieszkał wujek Leszek. Był uczynny i pomagał im, gdy czegoś potrzebowali, chociaż do rąbania drewna wynajmowali specjalnego pana. Wujek Leszek był inżynierem w zakładach metalowych, miał syna Jacka w moim wieku, miał też samochód. Lubiliśmy się z Jackiem, a poza jego tatą nie znałem nikogo, kto miał samochód. Była to syrena 102, według wujka najlepszy samochód na świecie.

Kiedy przyjeżdżałem, spotykaliśmy się z Jackiem, a wujek Leszek organizował nam wycieczki. Musieliśmy tylko co chwila odpowiadać na pytanie, jaki jest najlepszy samochód na świecie, ale znaliśmy odpowiedź, a wujek się cieszył i udawał nam, że syrena 102 wyciąga sto na godzinę. Nie zawsze się to udawało, ale krzyczeliśmy z Jackiem: „Stówa! Stówa! Stówa!”. Z nimi dwoma zwiedziłem całą okolicę. Wujek zabierał nas samochodem w niedziele, czekałem na te wycieczki, odliczałem dni. Ba chętnie podpowiadała nam cele podróży, uważała się za eksperta od wszystkiego, co świętokrzyskie. Mówiła nam na przykład: jedźcie do Oblęgorka, tam jest pałacyk Sienkiewicza, który mu naród polski kupił w podziękowaniu za książki, chociaż to było jeszcze w czasie zaborów. No to jechaliśmy. Albo: koniecznie jedźcie do Szydłowa, tam są mury obronne, jedne z największych w Europie, te mury wytrzymały potop szwedzki – brzmiało zachęcająco, więc jechaliśmy i tam. Z okolicznych zamków najbardziej podobała mi się twierdza w Chęcinach, gdzie można było spacerować po murach i wyobrażać sobie, jak kiedyś chodzili tam rycerze w zbrojach i odbywały się turnieje.

Wujek Leszek miał też własne pomysły. Zabrał nas na wzgórze, w którego wnętrzu była jaskinia Raj odkryta przez uczniów z kieleckiej szkoły. Potem zasypano wejście, żeby nikt nie wpadł do środka, ale i tak fajnie było wiedzieć, że w „brzuchu wzgórza” (wujek tak powiedział) jest ogromna jama. Planowaliśmy z Jackiem, że się tam kiedyś dostaniemy i obejrzymy jaskinię jak grotolazi, chociaż wujek straszyl nas nietoperzami. Innym razem zrobiliśmy sobie pieszą wycieczkę w Góry Świętokrzyskie. Wujek Leszek poprowa-

dził nas ścieżkami wzdłuż gołoborza, ale nie pozwolił wchodzić na głązy – łatwo się z nich osunąć i złamać nogę w szczelinie. Weszliśmy na Łysicę, najwyższą górę z najniższych gór w Polsce (wujek fajnie nazywał różne rzeczy).

Były też inne szczyty, jak Łysa Góra, zwana Świętym Krzyżem, z klasztorem, ale tam pojechaliśmy samochodem i weszliśmy od drugiej strony. Ba opowiedziała nam przed wyjazdem, że jak zwiedzała Święty Krzyż przed wojną, w klasztorze mieściło się więzienie dla najgorszych przestępców. I kiedy ci przestępcy zobaczyli przez kraty, że idą panienki z pensji, to je wołali „rynsztokowymi słowami”, a potem wyzywali i robili sprośne gesty. Fajnie by było zobaczyć groźnych przestępców, zwłaszcza jak robią te gesty, ale w klasztorze nie było już śladu po więźniach, udostępniono tylko do zwiedzania niektóre cele. Nadal znajdowały się w nich kraty.

Jacek powiedział mi kiedyś, że najfajniejszy w okolicy jest dąb Bartek, robił przy tym figlarną minę. Słyszałem już wcześniej o tym tysiącletnim drzewie – najstarszym w Polsce. Trudno było sobie wyobrazić, że dąb pamiętał czasy Mieszka I, zakładając, że dąb cokolwiek pamięta. Cioteczki opowiadały, że Bartek jest olbrzymi jak baobab w książce *W pustyni i w puszczy*, chociaż prawdziwego baobabu żadna z nich nie widziała, i że potrzeba co najmniej dziesięciu chłopów, żeby objąć pień starego dębu.

To była nasza ostatnia wspólna wycieczka tamtego lata. Drzewo było wielkie, choć nie aż tak, jak sobie wyobrażałem, podparte z jednej strony, żeby się nie złamało. Wyglądało staro, ale skoro miało tysiąc lat, to trudno się dziwić. Dokoła pnia spacerowali ludzie, niektórzy robili zdjęcia, a inni zamawiali je u pana fotografa, który stał obok z wielkim aparatem i pobierał opłaty. Myślałem, że i my zrobimy sobie zdjęcie na pamiątkę, ale wujek Leszek powiedział, że nim ten pan je wywoła i wyśle, dawno będę w Warszawie. Trochę mi było szkoda, bo przecież zdjęcie mogło poczekać na mnie do następnego przyjazdu, ale wtedy Jacek zaprowadził mnie do miejsca, w którym od razu poprawił mi się humor. Powiedział, że pokaże mi coś innego – też największego w Polsce. Wujek Leszek przewrócił oczami, bo już wiedział, o co chodzi, ale nie poszedł z nami. Jacek zaprowadził mnie ścieżką biegnącą z tyłu drzewa nad niewielkim parowem. Na krawędzi tego parowu stał drewniany wychodek, taki z dziurą w środku (to okropne korzystać z czegoś takiego, na szczęście nie

musiałem). Pod wychodkiem było urwisko, a pod urwiskiem... Jacek miał rację, to było nie do wyobrażenia!

Pod urwiskiem, a raczej kilka metrów pod samym wychodkiem znajdowała się największa kupa, jaką można sobie wyobrazić, a raczej jakiej wyobrazić sobie nie sposób. Wyglądała jak piramida! Zwężała się od podstawy ku górze, przechodząc w stożek, który mienił się przeróżnymi kolorami, bo tworzyły go poziome warstwy z kolejnych okresów. Pomyślałem, że to jest coś jak kupa kalendarz – widać było na niej upływ czasu, tak jak na pniu ściętego drzewa widać słoje i można obliczyć jego wiek. Ciemna u nasady, miała kilka metrów wysokości, rozjaśniała się i mieniła u szczytu. Nie chciałem się jej przyglądać zbyt dokładnie, ale też nie mogłem przestać na nią patrzeć. Kiedy wreszcie odwróciłem wzrok i ujrzałem rozradowaną twarz Jacka, zachwyconego, że pokazał mi ten dziw nad dziwami, został mi przed oczami obraz czubka brązowego giganta i zapamiętałem, że był on lekko, ale dosłownie leciutko zakrzywiony, tak jakoś zawadiacko, niczym antenka na brecie. Zrozumiałem, że nie zapomnę tego widoku, nawet gdybym chciał, tymczasem nie mogłem się zdecydować, czy chcę czy nie chcę, albo kiedy chciałbym zapomnieć – bo nie od razu. Miałem wspomnienie z podróży.

Po powrocie do W., kiedy już podziękowałem za wycieczkę, pożegnałem się z wujkiem Leszkiem i z Jackiem i odprowadziłem wzrokiem odjeżdżającą syrenkę 102, „najlepszy samochód na świecie”, wpadłem prosto na Ba. Miała tryumfalną minę.

– I co, nie mówiłam? Cud natury! Widziałeś cud natury! – powitała mnie na werandzie. – Czegoś takiego nie zobaczysz w całej Polsce, a może nawet w całej Europie.

– Na pewno w całej Europie nie mają czegoś takiego – zgodziłem się z Ba.

Warszawiacy i bolszewicy

Dziadek był warszawiakiem z dziada pradziada. Cała jego rodzina to byli ludzie majątni i wykształceni, „bywali w świecie”, jak mawiała Ba. Dziadek mojego Dziadka, też inżynier, budował koleje w Peru, pracował przy słynnej kolei andyjskiej i miał swoje hasło w Britannice. Niestety encyklopedia, którą dziadkowie mieli przed wojną w domowej bibliotece, zaginęła. Teraz mieliśmy inną encyklopedię, tak

zwanego Gutenberga, do której często zaglądałem, niestety nic tam o dziadku Dziadka nie było, chociaż znalazłem hasło „Koleje żelazne” (tom VII – Izaszar do Kolejowy rozkład jazdy), pod hasłem zaś „Kordyliery” (tom VIII – Kolejowe sądy rozjemcze do Laud) wspomniano o kolei Oroya (4775 m n.p.m.), tej pradziadkowej albo nawet prapradziadkowej. Właśnie dlatego, że i on, i cała jego rodzina pochodzili z Warszawy, Dziadek opłakiwał to, co się stało z jego miastem.

– Nie ma już Warszawy, bo nie ma warszawiaków – mówił, paląc w kuchni papierosa. – Prawdziwi warszawiacy zginęli w Powstaniu (to słowo zawsze wypowiadał wielką literą, Ba zresztą też). A teraz nasprawdzali hołoty bez żadnej kultury, zepsuli stare dzielnice nowymi lokatorami. Ci komuniści chcą z Polski zrobić drugą Rosję. Pokradli właścicielom kamienice i zameldowali w nich „komunałkę”, tak samo jak u Sowietów. A w nowych dzielnicach to już tylko klasa pracująca, lepsze jutro, czyli nowy człowiek sowiecki. Szkoda gadać, degrengolada...

– Na Pradze zawsze była żulia – wtrącała Ba. – Nie pamiętasz? Kto przed wojną jeździł na Pragę? I po co? Chyba tylko z dziećmi do zoo, bo w jakim innym celu?

– Tak, Halinko – odpowiadał Dziadek. – Ale to była stara żulia, miała swoje zasady. Przed wojną nawet świat przestępczy przestrzegał zasad. Kiedy ktoś mieszkał na Pradze, mógł się czuć bezpieczny, bandyci nigdy nie ruszyliby swego. Dzisiaj zatraciły się wszelkie normy, hałastra wymieszała się z przyzwoitymi ludźmi.

– Boże, Boże, co nas spotkało! – Ba wdychała. – Przenieśli człowieka jak stare graty, osiedlili w tym okropnym miejscu. A był jakiś wybór? Nie mogliśmy zostać we własnym domu! A teraz wszędzie dokoła ci okropni ludzie, cała ta żulia...

I w ten sposób się dowiedziałem, kto nas otacza. Żulia to była łobuzeria, półświatek, mówiąc krótko – przestępcy. Rozbójnicy z Pragi. To z ich dziećmi musiałem chodzić do szkoły i na ich dzieci uważać po drodze. Ba okropnie się bała złych ludzi, przed wojną w ogóle nie miała do czynienia z kimś takim. A teraz opowiadała, jakie słowa słyszy na ulicy, słowa, których nawet nie rozumiała, aż jej uszy więdną. Ja słyszałem te słowa codziennie w szkole, jednak wolałem o tym nie opowiadać. Dziadek i Ba i bez tego byli wystarczająco załamani. Nie nawidzili i naszej dzielnicy, i naszego mieszkania. A wszystko przez komunistów, bolszewików, Sowietów i Rosjan. Bo to było to samo.

Z wizytą u mamy

Na początku jeździliśmy z Ba na cmentarz dwa razy w tygodniu. W każdą środę, bo mama umarła w środę, i w każdą niedzielę. Potem, kiedy już poszedłem do szkoły, jeździliśmy tylko raz w tygodniu. Nie wolno było mówić, że idziemy na cmentarz, chodziliśmy „do mamy”. W niedzielę najpierw szliśmy na mszę do drewnianego kościółka przy ulicy Wincentego (Świętego Wincentego, ale nikt tak nie mówił). Podczas mszy okropnie mi się nudziło, bo za każdym razem było to samo. Kazania też niewiele się od siebie różniły, poza tym były krótkie, a cała msza długa. Jeździliśmy na jedenastą, tramwajem 34, ale czasami wyjeżdżaliśmy później i wtedy trzeba było iść na dwunastą, a to była suma – msza śpiewana i niemiłosiernie długa, trwała około godziny, prawdziwa męka. Drugą męką, na szczęście tylko wtedy, kiedy nie padało, było kupowanie kwiatów przez Ba. Nie potrafiła wybrać czegoś na jednym czy dwóch straganach – musiała obejść wszystkie i narzekać, przez cały czas narzekać: na ceny, na kwiaty, na kwiaciarki. Przy brązowym marmurowym grobie (Ba nazywała go pomnikiem) zawsze kazała mi się witać i żegnać z mamą.

W kościele przeszkadzało mi jeszcze coś innego, ale tylko w czasie świąt Bożego Narodzenia i tylko dopóki byłem naprawdę mały. Nie rozumiałem niektórych słów kolęd. Na przykład: dlaczego Maryja zdjęła z głowy rąbek, skoro była u Boga?

Łysy golas

Urodziłem się łysy i miałem na to dowód. Na pianinie obok zdjęcia mamy pojawiała się zdjęcie gołego bobasa, który leżał na brzuchu i wykonywał w kierunku fotografa coś w rodzaju uśmiechu. Bobasem byłem ja, ciągle mi to powtarzano. Moja głowa przypominała żarówkę albo arbuza, albo piłkę, albo globus, albo balon, albo bombkę na choinkę, albo Lenina, ale o tym ostatnim nie wspomniałem Ba ani Dziadkowi, bo ich by to nie rozbawiło. Mnie za to bardzo śmieszyło: taki malutki, nagutki Leninek. Zdjęcie wielkości pocztówki było oprawione w szklaną ramkę i co pewien czas wypływało gdzieś w domu, powracając czasami na swoje miejsce na pianinie. Powtarzano mi wtedy, że urodziłem się w niedzielę o godzinie dziesiątej. Podobno było to zapowiedzią leniwego życia i jak na razie

się zgadzało. I że urodziłem się „prywatnie”, to znaczy w prywatnej klinice – jakoś niby lepiej. Ojciec opowiadał o moich narodzinach własną historię. Zadowolony z dowcipnego spostrzeżenia powtarzał, że kiedy zobaczył mnie po raz pierwszy, w pomarszczonej buzi dziecka ujrzał... twarz stuletniego starca.

Historia rodzinna

Nie miałem pojęcia, co się ze mną działo w okresie poprzedzającym pamięć, czyli przez te dwa, trzy lata, które każdy człowiek musi przeżyć, żeby ich potem nie pamiętać. Najpierw myślałem, że przypomnę sobie wszystko, co się wydarzyło od urodzenia, liczyłem, że to tylko kwestia czasu. Czas jednak płynął, aż zrozumiałem, że nikt nie pamięta, jak go wozili w wózku (mnie wozili do parku Praskiego i nawet do zoo). A ponieważ interesowały mnie nasze pierwsze wspólne lata, nie pozostawało mi nic innego, jak o nie podpytać. Naturalnie zacząłem od Ba.

– Co było? A co miało być? Mama była chora. A to, że przyszedłeś na świat, na pewno jej nie pomogło. Chodziliśmy od lekarza do lekarza, ale to była banda konowałów! Nie potrafili jej pomóc. Boże, gdyby można było wyjechać za granicę...

Dziadek miał nieco inne wspomnienie tamtych lat.

– Tłoczyliśmy się tutaj w dwóch pokojach. Twoja mama z ojcem i my. Oddaliśmy wam duży pokój, kiedy się urodziłeś. Panowały nieludzkie warunki, jak u bolszewików. Oni też się tak tłoczyli we wszystkich miastach. Wymordowali mieszczaństwo, a potem pakowali ludzi ze wsi po pokojach, jakby to była oberża...

Z czasem ojciec przedstawił mi własną wersję.

– Było nam ciężko, ale byliśmy szczęśliwi. Poszedłem do pracy, kiedy mama kończyła studia. Dojeżdżałem kolejką do szpitala w Otwocku, nie znalazłem nic w Warszawie, a musiałem zrobić specjalizację. Wszyscy się jakoś mieściliśmy.

Powoli wyrabiałem sobie obraz tamtych lat. Dziadkowie dostali po wojnie mieszkanie w Warszawie. Na placu Leńskiego (podobno wtedy nazywał się ulica Projektowana). Po prostu zostali przeniesieni wbrew swojej woli, a wcześniej odebrano im dom w W. Dziadek stracił stanowisko w zakładach metalowych. Nic dziwnego, że nie potrafili się pogodzić z nowym życiem. Kiedy moi rodzice się po-

brali, zamieszkali razem z nimi. Po moim urodzeniu ojciec „załatwił” mieszkanie na Saskiej Kępie, co także spowijała tajemnica, ponieważ mieszkanie zawdzięczał temu, że się „zapisał”. Przeprowadzili się tam beze mnie, bo mama była chora, a ojciec pracował jako lekarz, czyli na okrągło. To było w miarę jasne. Niejasne pozostawało tylko, gdzie albo do czego się zapisał.

Rumunia dla nudystów

Pierwszy raz w życiu za granicę wyjechałem do Rumunii, w czasie wakacji pomiędzy pierwszą a drugą klasą. Najpierw była długa nocna jazda pociągiem sypialnym, ojciec miał leżankę nade mną, w kącie przedziału była maleńka umywalka. Kiedy po przebudzeniu zobaczyłem, przez jakie góry jedziemy, nie mogłem się oderwać od okna. Ojciec mówił, że jesteśmy w Transylwanii, i spodobała mi się ta nazwa, a góry spodobały mi się jeszcze bardziej. Pociąg jechał przez wysokie mosty i tunele, w których robiło się całkiem ciemno. W nocy przejechaliśmy koleją przez Czechosłowację i Węgry – taka podróż przez obce kraje to wreszcie była przygoda. Naszym celem była Mamaja, miejscowość wypoczynkowa nad morzem. Od razu mnie zachwycała. Nasz hotel stał przy samej plaży, a woda była ciepła jak w wannie. Dojechaliśmy nad Morze Czarne, które okazało się granatowe. Nasze polskie Morze Bałtyckie było raczej szare.

Pokój miał balkon z widokiem na morze, a w restauracji między stołami na platformach i białymi podestami do chodzenia pływały kolorowe rybki – musiałem patrzeć pod nogi i nie wolno mi było biegać. Ojciec zwracał mi uwagę na wiele rzeczy, na przykład na potrawy i wino podawane do kolacji. Mówił, że Rumunia jest o wiele bardziej zachodnia od Polski, i pomyślałem, że tutaj później zachodzi słońce. Postanowiłem nauczyć się czytać mapy – w końcu zacząłem podróżować po świecie. Morze było cudowne, nie chciało się wychodzić z wody. Tak naprawdę to i w Bałtyku nie lubiłem wychodzić z wody, ale w Morzu Czarnym lepiej się pływało. Ojciec wytłumaczył, że to przez większe zasolenie. Sól wypycha ciało na powierzchnię, przez co trudniej utonąć. Mówił mi o Morzu Martwym, w którym jest tyle soli, że można leżeć w wodzie na plecach i swobodnie czytać gazetę. To musiało być fantastyczne uczucie – z tym że ja czytałbym książkę.

Zwłaszcza taką jak ta, którą zabrałem ze sobą: *Tomek w krainie kangurów*. Przeżycia chłopaka z Warszawy, który niespodzianie znalazł się na innym kontynencie w grupie łowców zwierząt, zakreśliły mi w głowie. To była jedna z najwspanialszych scen, o jakich do tej pory czytałem: Tomek wraca do domu ze szkoły, a tam czekają na niego wytrawni podróżnicy, żeby zabrać go w daleki świat, do ojca, który nie może wrócić do Polski (rzecz jasna z powodu Rosjan). Czytając pierwsze strony tej książki, czułem takie dreszcze, że zaczynałem ją od nowa, czytałem to w kółko, chciałem być Tomkiem, wyjechać gdzieś na koniec świata. Na razie znalazłem się w Rumunii – to już pierwszy krok.

Kolejną nową rzeczą, na którą ojciec zwrócił mi uwagę, były plaże dla nudystów. Dwie – jedna dla kobiet, druga dla mężczyzn. Chodziliśmy razem na tę drugą. Obie otoczono parkanem, który zasłaniał ludzi zażywających kąpiele słonecznych. Całkowicie nago. Pośrodku znajdował się niewielki pas zwykłej plaży, z którego było widać głosów obojga płci wchodzących do morza. Zapytałem ojca, dlaczego niektórzy ludzie stają się nudystami, i chętnie mi to wyjaśnił: żeby opalać się w całości. Nie przypuszczałem, że to może być takie ważne. Zdejmo wałem z siebie trójkątne majteczki, które niewiele zasłaniały. Wszyscy faceci na plaży dla nudystów mieli owłosione siusiaki, więc zainteresowałem się, czy u kobiet wygląda to podobnie. Wcześniej o tym nie myślałem, ale łatwo było się przekonać, wystarczyło podpłynąć albo przejść kawałek wodą wzdłuż plaży i można było oglądać nudystki. Wyglądało na to, że mają tam jeszcze więcej włosów niż faceci. A może nawet same włosy, nic więcej. Ciekawsze były ich piersi – od malutkich po olbrzymie. I każda kobieta miała inne.

Nie potrafiłem do końca rozgryźć nudystów, zrozumiałem za to, że opalanie to jedna z najważniejszych rzeczy w życiu. Mój ojciec walczył o każdy promień słońca. Zabraniał mi czytać *Tomka* na plaży, co było bardzo trudne, bardzo. Miałem leżeć na plecach twarzą do słońca albo na brzuchu i opalać plecy. Nuda. Nagrodą za cierpliwe leżenie była kąpiel w morzu, więc starałem się pływać jak najdłużej. Nie tylko do plaży dla nudystek, ale także w przeciwną stronę albo dalej od brzegu. Po kilku dniach czułem się w Rumunii jak nad Bałtykiem – z tą różnicą, że u nas po drugiej stronie lądu była zatoka, a w Mamai rozciągało się jezioro. Jeden pan nazywał je laguną i ojciec od razu to podchwycił. Woda w lagunie była jeszcze

cieplejsza niż w morzu, wolałem jednak kąpać się w morskich falach. Kochałem plażę – piasek, wodę i słońce.

Tomek Wilmowski, bohater mojej książki, pojechał znacznie dalej, bo aż do Australii. Wpatrywałem się w mapę tego kontynentu zamieszczoną na wewnętrznej stronie okładki. Czytałem o przygodach chłopca tylko trochę starszego ode mnie, który żył jak dorosły mężczyzna. Doskonale strzelał. Był bohaterem. Poznał w Australii dziewczynę i uratował jej życie, bo odnalazł ją zaginioną w buszu, gdzie groziła jej śmierć. Potem dostał za to psa, Dingo, a tego zażdrościłem mu najbardziej.

Abbey Road

Dewiacje i ewakuacje

Jaja nad Wisłą

Czterech śpiących

Patrzcie na misie!

Wąski i Abażur

Danka – ucznia praskiej podstawówki, bystrego, ciekawego świata półsierotę – kształtują przedwojenne wspomnienia dziadków i bieżące fascynacje wszystkim, co zakazane. Na przemian: partyzanci i hipisi, patriotyzm i onanizm, wczesne lektury i odkrycia muzyczne, ciągły stan zagrożenia ze strony wrogich gitowców i niestrudzone poszukiwanie dorosłości pod sukienkami koleżanek. To wszystko miesza się w barwnej opowieści wypełnionej realistycznym językiem i galerią postaci: kumpli bohatera, koleżanek z wakacji, ojca lekarza, nauczycieli, księdza, a nawet tajemniczego proroka. Wielką nieobecną pozostaje matka.

W tej autobiograficznej powieści inicjacyjnej monumentalna, socrealistyczna przestrzeń warszawskiej Nowej Pragi staje się centrum świata, mapą, którą młody bohater stale poszerza w przestrzeni i w czasie. Ożywa park Praski i zoo, Stare i Nowe Miasto oraz stołeczne mosty, którymi przebiegały trasy szczenięcych wypraw pieszych i rowerowych. Jest bazar Rózyckiego, są kultowe kina i saturator.

Książka jest szczerą do bólu. Roi się w niej od fantazji nie tylko seksualnych, bywa historycznie śmieszna, bywa wzruszająca. A jednak nie jest to książka o PRL jakich wiele. To opowieść o dorastaniu w czasach PRL – w świecie pełnym absurdów i ograniczeń, który dla dziecka i tak pozostaje fascynujący.

Git albo nie git

Onanizm i organizm

Niebieska wołga

Rewizja osobista

Obywatel jedzie do Moskwy

Pałowanie w parku

Obłok Magellana

w sprzedaży także

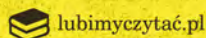
eBOOK

cena 49,90 zł



KUP TERAZ!

PATRONAT MEDIALNY



BOOKLIPS.PL IIIII

